MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 33. WARSZAWA, 5 SIERPNIA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

TRAGEDJA EUROPY

W EUROPIE — mimo, że tyle już lat upłynęło od zakończenia wojny — trwa wciąż zamęt gospodarczy, społeczny, polityczny i moralny. Coraz wyraźniej widać, jak błądzili ci, co sądzili, że zamęt i niepokój są następstwami wojny, i spodziewali się, że kontynent nasz powróci do stanu przedwojennego. Umysły ludzkie są z natury konserwatywne, to też wydawało się przeważnej ilości nietylko przeciętnych „zjadaczy chleba", lecz nawet i umysłów oświeconych, że wszystko to, na co patrzymy, jest jakiemś wielkiem nieporozumieniem, jakiemś chwilowem odchyleniem od normy, że i ludzie i stosunki wrócą do tego, co było przed wojną.

O ile moje wiadomości sięgają, pierwszym pisarzem, który stwierdził, że stoimy wobec głębokiego i długotrwałego kryzysu ludów cywilizacji zachodnio-europejskiej, był Dmowski. Twierdził on, że ginie świat stary, w którym wyrośliśmy i powstaje świat nowy, którego kontury ledwo się zarysowywują. Dziś mamy już głosy szeregu pisarzy i myślicieli w Europie, którzy mówią o rewolucyjności czasów i powiadają, że mamy do czynienia z przełomem, podobnym do tego, jaki się odbył po upadku Rzymu starożytnego i zakończył średniowieczem. Do rozważań na ten temat przybywa obecnie książka szwajcarskiego pisarza p. Gonzague de Reynold p. t. *„L'Europe tragique"*. Jest to próba syntezy, próba przedstawienia istoty kryzysu współczesnego. Materjał przynosi obfity, autor dotyka wszystkich aktualnych dziś zagadnień. Nie zamierzamy wdawać się tu w szczegóły lub podejmować dyskusji. Interesuje nas przedewszystkiem to, co potwierdza nasze własne sądy. A więc przedewszystkiem zasadnicze stanowisko autora, który twierdzi, że mamy do czynienia z kryzysem całkowitym, a nie częściowym i, że patrzymy na koniec okresu, który się rozpoczął Odrodzeniem. Po Rzymie starożytnym epoką drugą wzniesienia się ludów cywilizacji zachodnio-europejskiej na wyżyny było średniowiecze — w życiu społecznem przeważały interesy zbiorowe nad osobistemi, w życiu duchowem istniało przekonanie, że poza światem materji istnieje świat ducha.

Odkrycie Ameryki rozszerza obszar ziemski znany i dostępny dla Europejczyków, otwiera przez to okres wzmożonej ich działalności, bogacenia się, a przez to rozluźnia więzy społeczne świata średniowiecznego, skupia zainteresowanie ludzi na dobrach doczesnych, daje początek opanowywania sił przyrody i rozwoju wiedzy... Na tem podłożu wyrastają prądy nowe — indywidualizm i materjalizm. Zdobywają one w ciągu wieków umysły i serca ludów naszego kontynentu, dochodzą poprzez oświecenie wieku XVIII, rewolucję francuską i wiek XIX do najwyższego rozwoju i rozpowszechnienia.

Kryzys współczesny jest załamaniem się ustroju społecznego i gospodarczego, organizacji politycznej i systemu myśli i moralności, wyrosłych na podstawach indywidualizmu i materjalizmu, jest decydującem doświadczeniem, wykazującem błędność podstaw filozoficznych i etycznych czasów nowożytnych. Dlatego to nie można mieć nadziei, by kryzys rychło przeminął, dlatego to nie można się spodziewać powrotu do czasów przedwojennych. Musi zginąć świat zbudowany na błędnych podstawach, musi powstać świat nowy, zgodny z wy-

nikami ciężkich doświadczeń ludzkości. W oczach naszych — w męce i wśród oparów krwi przelanej — świat ten powstaje, zarysowywują się dopiero jego kontury. Wiele jeszcze będzie prób nieudanych, wiele wysiłków daremnych, wiele ofiar i bólu, zanim ludy Europy potrafią wytknąć sobie nowe drogi życia.

Najdotkliwiej odczuły po dzień dzisiejszy te ludy kryzys gospodarczy i polityczny. Daremnemby też było szukanie wyjścia z tych kryzysów przez powrót do stosunków dawnych. Trzeba szukać dróg nowych. Poszukiwaniem ich są nowoczesne ruchy narodowe w Europie — faszyzm we Włoszech, narodowy - socjalizm w Niemczech i t. d. Wypowiedziały one przedewszystkiem walkę indywidualizmowi, bo stawiają otwarcie i wyraźnie interes zbiorowy narodu ponad interesami jednostki. Robią to nietylko w teorji, lecz przeprowadzają w praktyce, opierając się na instynktach mas, które dziś wyraźnie dążą do podporządkowania się, do dyscypliny, do ładu... Są pierwiastki nowego porządku także w bolszewizmie, lecz tkwi on jeszcze w ideologji przeszłości, zwłaszcza przez fanatyczny materjalizm.

Czasy nasze mają typowy charakter okresu przejściowego. Autor książki, która dała nam powód do rozważań niniejszych, stara się odnaleść w zamęcie wypadków i w pracy myśli współczesnej twardy grunt, na którym będzie mogła być budowana przyszłość. Widzi on grunt ten w nowoczesnych prądach narodowych, ocenia bardzo dodatnio zarówno dorobek faszyzmu, jak i hitleryzmu. Lecz sądzi, że w prądach tych jest jeszcze dużo przeszłości, że pokolenie, w którem się zrodziły, jest jeszcze zbyt związane ze światem zamierającym — przezwyciężyło indywidualizm (stawiając na pierwszem miejscu naród i państwo), ma dążenia do wprowadzenia pierwiastków duchowych w życie zbiorowe, lecz nie wyzwoliło się jeszcze całkowicie z materjalizmu wieków przeszłych. Wyzwolenie to bowiem dokona się dopiero wówczas, gdy życie zbiorowe narodów europejskich będzie przeniknięte duchem religijnym, duchem kościoła powszechnego — rzymsko-katolickiego.

Stwierdzenie, że żyjemy w okresie rewolucyjnym na przełomie dwóch epok, że kończy się epoka rozpoczęta Odrodzeniem, a rozpoczyna nowa, w której zapowiada się powrót pod wieloma względami do średniowiecza, ma znaczenie nietylko teoretyczne. Ze stwierdzenia tego wynika cały szereg wniosków i wskazań praktycznych. Mówił nam to wielokrotnie w swych artykułach i książkach Dmowski. Mimo to wciąż jeszcze pokutują skłonności do sądzenia, że mamy do czynienia z kryzysem powojennym, że minie on rychło i powrócimy do stosunków przedwojennych w Europie. Uczony szwajcarski nie zna oczywiście dzieł polskiego pisarza. Tem ciekawsze wszakże i tembarbardziej przekonywujące są wywody p. Gonzague de Reynolda, że są, jeśli chodzi o sprawy zasadnicze, potwierdzeniem tego, co nam mówił pisarz polski. Są oczywiście i różnice, nawet dość wyraźne, lecz nie o szczegóły chodzi w tej chwili, lecz o ogólny punkt widzenia. W całkiem innem świetle bowiem przedstawiają się różne zagadnienia bieżące, gdy się na nie patrzy z odległości historycznej, gdy się je umieszcza na tle głębokiego przełomu dziejowego, przeżywanego przez narody cywilizacji zachodnio-europejskiej. Widzi się też zresztą wówczas, jak losy nasze są ściśle związane z losami innych ludów europejskich, jak ograniczone pole widzenia mają ci, co chcą rozumieć nasze sprawy i trudności, nie wiążąc ich ze sprawami i trudnościami całego kontynentu, a nawet całej kuli ziemskiej.

STANISŁAW KOZICKI

W SZKOLE DMOWSKIEGO

W początkach sierpnia r. b. przypada czterdziestopięciolecie działalności politycznej i pisarskiej Romana Dmowskiego. Twórca „Polityki polskiej i odbudowania państwa" nie lubi — jak wiadomo — szumnych uroczystości, ponadto chwila, jaką obecnie przeżywamy, nie nastraja do radosnych obchodów. Niemniej, dla zaznaczenia pamięci o tej dacie, zamieszczamy garść osobistych wspomnień i uwag, pióra jednego z najbliższych współpracowników R. Dmowskiego w latach ostatnich, posła dr. Tadeusza Bieleckiego.

1

KIEDY WRACALIŚMY Z WOJNY 1918 — 1920 r. na ławy uniwersyteckie, odczuwaliśmy nietylko głód fizyczny ale — w o wiele większym jeszcze stopniu — głód duchowy. Liberalizm, pacyfizm, humanitaryzm, ckliwy patrjotyzm, socjalizm i inne wytwory ubiegłego stulecia już nam nie wystarczały. Hałaśliwie zalecane — odpychały.

Zaczęliśmy się wówczas rozglądać za czemś, coby mniej raziło nasz nowy sposób odczuwania spraw polskich. Odbudowanie państwa polskiego, prawdziwego państwa z własną armją, z własnemi władzami i instytucjami zrodziło nowe potrzeby w zakresie umysłowo-politycznym. Szukaliśmy książki, którаby tym nowym warunkom odpowiedziała.

Wtedy to właśnie wpadły nam w ręce „Myśli nowoczesnego Polaka", Czytaliśmy je od deski do deski, stały się wyznaniem naszej wiary politycznej, nieodstępnym towarzyszem w walce o narodową Polskę. Było to pierwsze, pośrednie

zetknięcie się młodego pokolenia powojennego z Romanem Dmowskim.

Nie rozumiałem wtedy tajemnicy powodzenia „Myśli nowoczesnego Polaka", ani nie miałem czasu — w rozgwarze walki — nad tem się zastanawiać.

Dziś, czytając z niemniejszem zainteresowaniem po raz nie wiem już który wydanie czwarte znakomitego dzieła Dmowskiego, pojąłem, jak mi się zdaje, zagadkę poczytności i wpływu „Myśli".

Polega ona na tem, że — obok nie byle jakiego kunsztu pisarskiego, jakim Dmowski w miarę szafuje — „Myśli nowoczesnego Polaka" w roku 1902 — 1903, w okresie największego ucisku i popowstaniowej beznadziejności pisane były tak, jakby istniało państwo polskie, realne nie papierowe państwo, takie, jakie mają „wszystkie narody", jak to sformułował Wyspiański w „Wyzwoleniu". Dmowski widział już wtedy, on jeden z polityków, państwo polskie na jawie, nie w snach i majaczeniach poetyckich [1])

I to jest, naszem zdaniem, największy czar książki Dmowskiego, który nie prysł dotąd po trzydziestu z górą latach, jakie nas dzielą od chwili ukazania się pierwszego manifestu samodzielnej, polskiej myśli narodowej.

2

Potem przyszły lata studjów i walki o narodowy charakter polskich wyższych uczelni. Przebijaliśmy się w kilku, kilkunastu, czasem w pojedynkę przez gąszcz przeciwników politycznych i coraz więcej miejsca zdobywaliśmy dla idei narodowej.

Szeregi Młodzieży Wszechpolskiej rosły. Odcięliśmy się zdecydowanie od żydów, stworzyliśmy czysto aryjską „rzeczpospolitą akademicką". Wygrywaliśmy wiece i zjazdy ogólno-akademickie, „opanowywaliśmy" bratniaki i koła studenckie (naukowe i in.) W ciągu kilku lat wytężonej pracy i walki objęliśmy niepodzielnie ster życia akademickiego. Hegemonja żywiołów narodowych na uniwersytetach została ustalona i trwa do dnia dzisiejszego.

Wtedy to dwukrotnie mieliśmy możność zetknąć się bezpośrednio i słyszeć R. Dmowskiego: 1) w kwietniu 1923 r. z okazji zjazdu ogólnego Młodzieży Wszechpolskiej w Poznaniu i 2) w listopadzie 1925 r. po zakończeniu t. zw. przez nas szumnie kongresu Młodzieży Wszechpolskiej w Warszawie. Obydwa spotkania wywarły na nas głębokie wrażenie.

W Poznaniu mówił Dmowski o trudzie odbudowania Polski i o potrzebie zerwania z talmudyzmem, w Warszawie wzywał do samodzielnego pogłębiania wiedzy i kultury politycznej oraz przepowiadał już wówczas rozmiary przewrotu, jaki miał dotknąć niezadługo cały świat.

Zrozumieliśmy wtedy, że mamy w Polsce polityka wielkiej miary, z poczuciem dziejowej odpowiedzialności, orjentującego się, jak nikt inny, w przemianach, jakie zachodzą w świecie, urodzonego wreszcie wodza, który umiałby nasz naród przeprowadzić pewną ręką przez nadchodzący okres burz i katastrof.

3

Przegrana w maju 1926 r. (w czasie dłuższego pobytu Dmowskiego zagranicą) obnażyła słabe strony obozu narodowego.

Zaczęła naglić sprawa rewizji dotychczasowych metod walki, dawała się odczuwać potrzeba stworzenia organizacji ponadpartyjnej w kraju, wychodzącej poza ramy stronnictwa parlamentarnego. Ukazał się słynny artykuł R. Dmowskiego „Potrzeba nowego doboru", ktory zapowiadał znaczne przesunięcia w obozie narodowym.

Wtedy to powstał projekt dotarcia wprost do R. Dmowskiego i skłonienia go do wzięcia czynnego udziału w bieżącem życiu politycznem i objęcia kierownictwa obozu narodowego. Wybraliśmy się w dziewięciu w lipcu 1926 r. (a może w czerwcu, nie pamiętam dokładnie) do Chludowa, siedziby Prezesa pod Poznaniem. Z pośród przywódców młodzieży byli w Chludowie; 1) Borkowski Edw., 2) Jakubowski Miecz., 3) Nycz Stan., 4) Rembieliński Jan, 5) Rossman Hen., 6) Stahl Zdz., 7) ś. p. Szayna Stan., 8) Wyrzykowski Stef. Wskazywaliśmy na nowe młode siły, które się ujawniły w czasie walk majowych i natarczywie prosiliśmy Prezesa, aby wziął w swe ręce komendę i przeorganizował obóz narodowy. Dmowski wypytywał dokładnie o układ sił w młodem pokoleniu, nie dał żadnych wiążących obietnic ale z dość długiej rozmowy, jaką przeprowadziliśmy w gabinecie Prezesa, wynikało, że miał on już w w sobie skrystalizowany pogląd na konieczność powstania nowej formacji politycznej. Wyjeżdżaliśmy z Chludowa z rozbudzonemi nadziejami i z wiarą w lepsze jutro Polski.

Po naszej wizycie rozpoczęły się liczne konferencje i przygotowania, zmierzające do stworzenia nowego obozu politycznego.

Po cztero-miesięcznym okresie przygotowawczym 4 grudnia 1926 r. powstał Obóz Wielkiej Polski. Do Wydziału Wykonawczego Obozu, któremu przewodniczył p. Al. Dębski, wszedł na początek jeden (potem było nas trzech) przedstawiciel młodego pokolenia. Rozpoczynała się kilka lat trwająca współpraca polityczna młodych z Romanem Dmowskim na gruncie Obozu Wielkiej Polski.

4

W obrębie Obozu Wielkiej Polski powstał w r. 1927 t. zw. Ruch Młodych. Inicjatywa wyszła ze Lwowa. Szło o to, aby w nowej formacji ideowo-politycznej, stawiającej sobie szersze cele, niż jakiekolwiek stronnictwo, zmieścić, jeżeli nie całe, to przygniatającą większość młodego, w Niepodległej Polsce dojrzewającego, pokolenia. Powstał osobny Wydział Wykonawczy Młodych Obozu Wielkiej Polski, do którego weszli młodsi członkowie Wydz. Wyk. Obozu, a obok nich kilku jeszcze przywódców młodzieży. Grunt był podatny, ruch nasz rósł, jak lawina, rozwijaliśmy się żywiołowo, obejmując kolejno cały kraj.

Urządzaliśmy zjazdy, wydawaliśmy czasopisma („Awangarda", „Szczerbiec", „Młodzi" i in.), prowadziliśmy pracę wychowawczą i walkę z tem wszystkiem, co naród rozkłada lub osłabia, próbowaliśmy dawać nową treść polskiemu życiu politycznemu i przetwarzać program narodowy.

Ruchowi Młodych O, W. P. patronował stale R. Dmowski, widział w nim „Świt lepszego jutra" i niemało przyczynił się do naszego rozrostu swo

---

[1]) Pewność i wiara w nieuchronne powstanie państwa polskiego bije z każdej niemal strony „Myśli nowoczesnego Polaka". Żeby nie być gołosłownym, odsyłam czytelnika do tekstu „Myśli" (wyd, IV, 1933 r.) str. 56 i 180 oraz str. 8, 78, 92, 118, 150, 154 i in.

jemi radami a nadewszystko wytwarzaniem potężnego prądu myślowego, który swą głębią i siłą, świeżością i młodością, porywał najoporniejsze nawet jednostki.

Imponująca twórczość pisarska Dmowskiego z tego okresu („Świat powojenny a Polska", „Przewrót" i in.) stała się naszą codzienną strawą duchową, którą w miarę sił i zdolności przerabialiśmy i niezawsze trafnie tłomaczyli.

Gdyby nie śmiałość i samodzielność myśli Dmowskiego, dorobek umysłowy naszego obozu wyglądałby dziś wcale ubogo.

Stosunek Dmowskiego do młodego pokolenia był i jest więcej, niż życzliwy, tchnie serdecznością i przyjaźnią. W zakresie organizacyjnym pozostawiał nam Prezes całkowitą niemal swobodę, kto wie nawet, czy nie za wielką, tak jakby chciał wydobyć na wierzch wszystkie wartości i braki, jakie w nas tkwiły.

Jaką rolę odegrał Ruch Młodych?

Wartość polityczna Ruchu Młodych polega nietyle na tem, że jest młody, ile że jest narodowy i powszechny t. j. obejmuje całe niemal młode pokolenie Polski Niepodległej. Poprzednie, przedwojenne ruchy młodzieży były też ruchami młodych z tą tylko — bardzo ważną — różnicą, że hołdowały zbyt czesto ideologji lewicowo-socjalistycznej.

Odmienianie zatem na wszystkie możliwe sposoby przymiotnika „młody" przez coraz bardziej starzejących się przywódców nie wystarczy, bo ani nie prowadzi do zdobycia władzy, ani nie wzmacnia pozycji młodego pokolenia w kraju i we własnym obozie.

Dorobek Obozu Młodych wyraził się w szeregu pozytywnych osiągnięć.

Po pierwsze rozprowadziliśmy ideologję narodową po całym kraju, przepoiliśmy młode pokolenie i zasililiśmy przerzedzone szeregi obozu narodowego nowym, żarliwym i ofiarnym żywiołem. Po drugie objęliśmy naszą działalnością wszystkie warstwy młodego pokolenia, całą młodą Polskę, z ruchu głównie inteligenckiego staliśmy się ruchem masowym, w pełnem tego słowa znaczeniu narodowym.

Po trzecie stworzyliśmy nowszą szkołę organizacyjną, odpowiadającą bardziej nowoczesnym, powojennym warunkom, z cechami półwojskowemi, nauczyliśmy się nie narzekać ale przedewszystkiem z wiarą walczyć i nieraz zwyciężać. Po czwarte wreszcie próbowaliśmy rozumieć i w miarę możności samodzielnie przerabiać twórczą myśl Dmowskiego, która coraz bardziej zaczyna się stawać, nietylko dla nas, jedynym zbawczym drogowskazem w powojennym chaosie.

Można powiedzieć za Dmowskim z pewnemi koniecznemi poprawkami, że:

„W starszem pokoleniu jeszcze panuje anarchja umysłowa, religijna, moralna, a co zatem idzie, polityczna. Wśród młodych anarchji już niema. Tam się szybko organizuje ład duchowy i obyczajowy, a choć z różnych zakątków starszego pokolenia idą usiłowania rozbicia tego ładu, rozproszkowania tej rosnącej siły, dziś już niema wątpliwości, że celu one nie osiągną, Polska jutrzejsza wydobędzie się z tego chaosu, w którym dziś żyje". („Świt lepszego jutra", W-wa, 1930 r. str. 9).

5

Po rozwiązaniu Obozu Wielkiej Polski okazało się, że dopóki stosunki wewnętrzne w naszem państwie nie ulegną gruntownej zmianie, nie da się utrzymać przy życiu organizacji masowej typu innego, niż stronnictwo parlamentarne. Tworzenie zaś kilku stronnictw narodowych, z podobnym programem a różnemi sposobami działania, uznaliśmy za jałowy zbytek, na jaki nas nie stać, — za zbytek, który wytwarzał niepotrzebne zamieszanie i w rezultacie ostatecznym wychodził na korzyść wielorakich naszych wrogów.

To stanowisko zdecydowało o zaniechaniu prób zakładania nowego stronnictwa politycznego. Postanowiliśmy wejść do istniejącego już Stronnictwa Narodowego, z którym zawsze w sprawach bieżących współpracowaliśmy. W ten sosób powstała Sekcja Młodych Stron. Nar., działająca ściśle w ramach Stronnictwa.

Proces zespolenia odbywał się wcale szybko, z wyjątkiem woj. poznańskiego, gdzie z uporem podtrzymywano w ciągu dłuższego czasu Związek Młodych Narodowców.

Stronnictwo Narodowe nie przypomina oczywiście przedmajowego Związku Ludowo-Narodowego, ulega stopniowym zmianom wewnętrznym zarówno w dziedzinie programowej, jak i organizacyjnej, staje się coraz szybciej nowoczesną formacją polityczną.

Proces wewnętrznego zrastania się obozu narodowego (podział na starych i młodych nie mógł trwać w nieskończoność) próbowano w ostatnim roku wykoleić.

Z różnych stron naraz podjęto atak — zrazu cichy, potem otwarty — na ten stan rzeczy w imię rzekomej samodzielności młodych.

Warto tu zauważyć, że taktyka odrębna w stosunku do obozu narodowego musi, chcąc nie chcąc, oddalać odeń, a zbliżać, choćby nieświadomie, do taktyki innych obozów.

Zaczęły się mnożyć, jak grzyby po deszczu, różne odłamy polityczne z podobną frazeologją narodową, które miały przybliżyć dzień zwycięstwa. Dziwne to było przybliżanie zapomocą dzielenia sił obozu narodowego.

Dziś można wszystkie odpryski sprowadzić do dwóch zasadniczych odłamów: 1) warszawski obóz narodowo-radykalny, obejmujący poznańską grupę Howorki i 2) poznański Związek Młodych Narodowców, do którego zaliczyć można lwowski zespół sześciu dr. Zdz. Stahla i oficjalnie doń należącą grupę dr. K. Hrabyka. Obydwa odłamy powstały wbrew woli R. Dmowskiego, chociaż lubią się często na niego powoływać, co świadczy nietylko o przywiązaniu odstępców do osoby Prezesa, ale o niemożności działania na gruncie młodego pokolenia wyraźnie przeciw Dmowskiemu.

Pierwsi (t. j. radykali) chcieli, nie bacząc na to, że położenie wewnętrzne Polski jest zgoła niepodobne do innych krajów, stosować metody faszyzmu czy hitleryzmu, i istnieć, mimo to, jako tolerowana partja polityczna. Stronnictwo to musiało się oczywiście w dzisiejszych warunkach politycznych prędzej czy później skończyć, w każdym razie skończyć w tej postaci, w jakiej zostało pomyślane i z hałasem zakładane, O. N. R., został, jak wiadomo, rozwiązany.

Drudzy (t. j. poznańscy młodzi narodowcy) łudzą się jeszcze, że można dziś z jakimś bliżej nieokreślonym odłamem „sanacji" porozumieć się i stworzyć wspólny, „szeroki" obóz państwowo-narodowy.

Sądzić wolno, że po Berezie Kartuskiej zwłaszcza, trudno będzie znaleść wspólny język z jakąkolwiek grupą sanacyjną.

Ta krótkowzroczna gotowość do porozumienia płynie, jak się zdaje, z niechęci do stoczenia stanowczej walki z „sanacją" i z fałszywego mniemania, jakoby można było rozłamać piłsudczyków artykułami dziennikarskiemi. Łatwość pisania nie zastąpi braku oparcia o szeregi narodowe. W walce decydują żywe, realne siły polityczne, umiejętność ich organizowania i prowadzenia, a nie pobożne życzenia i akademickie dyskusje. Obawiamy się, że poznańscy młodzi z pod znaku Z. M. N. miast tworzyć historję, będą skazani jedynie na jej opisywanie.

I u jednych i u drugich uderza zdumiewająca wiara w siebie i w swe możliwości rozwojowe.

Oceniając dziś sytuację w obozie narodowym można powiedzieć z dużą ścisłością, że pomimo pewnych szczerb, jakie poczyniono w jednolitym froncie młodego pokolenia, próby „rozproszkowania tej (t. j. młodej) rosnącej siły" nie udały się, że — co więcej, wbrew wielu nadziejom — młode pokolenie dalej stoi murem przy obozie narodowym z Romanem Dmowskim na czele. Drobne wyjątki od tej zasady tylko ją potwierdzają.

6

Dlaczego Dmowski posiadł niepodzielnie rząd dusz młodego pokolenia?

Aby odpowiedzieć należycie na to pytanie, trzebaby napisać osobne studjum.

Wystarczy nam narazie sam fakt, przez nikogo bodaj nie kwestjonowany, że Dmowski wpływa organicznie, bez zabiegania o to, na kształtowanie się oblicza ideowego młodego pokolenia.

Świadczy to o tem, że istnieje w Polsce wielki autorytet moralny i polityczny, któremu się bez przymusu, jeno z własnej woli, poddają szeregi przyszłych gospodarzy państwa polskiego.

Jest to zjawisko niedoceniane, a niezmiernie ważne, tem ważniejsze, że Dmowski skupia w sobie i wyraża najlepiej zdrowe ambicje całego narodu polskiego, ambicje zbiorowe, a nie własnowolne i jednostkowe, takich czy innych przemijających wodzów.

Dzieło Dmowskiego przetrwa jego samego.

Istnienie tak wielkiego autorytetu ma szczególną wagę u nas, w Polsce.

Pomimo deklamowania o hierarchji, o podporządkowaniu się interesom zbiorowym, o karności — dużo jest jeszcze u nas skłonności do anarchji, dużo fałszywych ambicyj osobistych, dużo warcholstwa i sobiepaństwa. Karność obowiązuje dotąd, dopóki odpowiada własnym widokom i własnemu egoizmowi.

Nawet w młodem pokoleniu, naogół lepiej zdyscyplinowanem, pojawiły się ostatnio — niewiadomo skąd przyniesione — tendencje odśrodkowe, chęć podziału obozu narodowego na odrębne, udzielne księstwa, niezależne od władzy centralnej. Zamiast zasady jedności i koncentracji sił — wyrosły idee podziałowe, nie znajdujące, na szczęście, podatnego gruntu, szybko więdnące i na anemiczną wegetację skazane.

Dla przeciwdziałania podobnym odruchom i dla stoczenia zwycięskiej walki o władzę w Polsce, obóz narodowy stoi obecnie przed koniecznością poważnego wysiłku.

Wysiłek ten pójdzie głównie w kierunku zasilenia przodującej w naszym obozie grupy, żywiołami mocno związanemi z masami narodowemi, umiejącemi je prowadzić, grupy, złożonej nietylko z ludzi dyplomowanych, z wyższem wykształceniem, ale odświeżanej stale przez zdrowe, uczciwe, w szkole myślenia narodowego wychowane, zdolniejsze jednostki z dołu, ze sfer wiejskich, robotniczych i rzemieślniczych.

Praca i walka w całem tych słów znaczeniu dopiero się właściwie zaczynają dla młodego pokolenia.

Szkoła polityczna Dmowskiego, jeżeli się tak wyrazić wolno, jest szkołą twardą i surową, nie znosi tandety, nie schlebia, nie operuje demagogją, żąda nieustannych wysiłków, pracy nad sobą, nad swym zwłaszcza charakterem, wzbogacania i pogłębiania swej myśli, dyscypliny wewnętrznej, posłuchu (kto nie umie sam słuchać, ten nigdy nie będzie umiał rozkazywać), poświęcenia, nieraz zaparcia się siebie, odwagi, wiary w Polskę.

Twarda to i surowa szkoła, jak twarde i surowe są czasy, które przeżywamy.

W ten tylko wszakże sposób, twardy i surowy, będzie można osiągnąć pełne i trwałe zwycięstwo idei narodowej.

TADEUSZ BIELECKI

POLSKIE DĄŻENIA MORSKIE ZA JAGIELLONÓW

DYNASTJA piastowska, budując Polskę i wytykając jej drogę dalszego rozwoju, opierała się zasadniczo na rdzennym pierwiastku słowiańskim w tej budowie, dążąc w swej ekspansji systematycznie na zachód i północ. t. j. ku Odrze i Bałtykowi. Stąd też wynikał jej pęd ku Pomorzu. Ziemia ta, złączona dość luźnie z resztą macierzy w wieku XI-ym, a wcielona do państwa bardzo ściśle w pierwszej połowie XII-go stulecia, odpadła, jak wiadomo, ostatecznie za czasów Kazimierza Wielkiego na rzecz Niemców, ktorzy Pomorze zachodnie, nadodrzańskie, wcielili do cesarstwa, jako księstwa lenne, a Pomorze wschodnie, nadwiślańskie, przeistoczyli na prowincję krzyżacką. W ten sposób Polska została w XIV-em stuleciu odepchnięta w zupełności od Bałtyku i stała się państwem całkowicie lądowem. Testament polityczny ostatniego króla Piasta nie zapominał jednakowoż o Pomorzu, wysuwając przeciwko Krzyżakom i czeskiej dynastji luksemburskiej, która uzyskała w 1346 r. koronę cesarstwa niemieckiego, unję polsko-węgierską oraz

przyjazne stosunki z naciskaną coraz silniej przez Krzyżaków Litwą. Jednocześnie wiązał Kazimierz Wielki Pomorze zachodnie, obdarzając swego wnuka, księcia Kazimierza szczecińskiego, lennem kujawskiem.

Testament polityczny ostatniego Piasta nie został wykonany ani odrazu, ani całkowicie. Przedewszystkiem następca Kazimierza Wielkiego, Ludwik Węgierski (1370 — 82) nie wydał Kazimierzowi szczecińskiemu Kujaw, a tem samem odstrychnął go od Polski i zerwał zadzierzgniętą nić między Pomorzem naodrzańskiem a macierzą. Następnie tenże Ludwik, trzymając, co prawda, na wodzy Luksemburgów czesko-niemieckich, nie kwapił się wcale do odzyskania Pomorza nadwiślańskiego, a przeciwnie utrzymywał z Krzyżakami zażyłe i dobre stosunki sąsiedzkie. Wreszcie z Litwą doszło do otwartej wojny o Ruś Czerwoną (dziś Małopolskę Wschodnią), przyczem to stare dziedzictwo piastowe zostało w rezultacie przyłączone do Węgier. Jednakowoż myśl polityczna testamentu, jaką było niewyrzekanie się Pomorza i ponowne dojście do Bałtyku, nietylko nie zanikła, lecz żłobiła się coraz głębiej w mózgach polskich, widzących w niemieckich Krzyżakach głównego wroga odrodzonego królestwa. Myśl ta, przewidując rozprawę orężną z zakonem Teutońskim i szukając sprzymierzeńca do owej rozprawy, doprowadziła w kilkanaście lat później do obioru na tron polski księcia litewskiego, zagrożonego pzzez tych samych Krzyżaków. Władysław Jagiełło (1386 — 1434), kładąc na swe skronie korone piastowską, przystępował jednocześnie do zrealizowania testamentu piastowskiego. Zostało to wyraźnie zaznaczone przez nowego elekta, który w swym tytule królewskim przybrał odrazu tytuł „księcia Pomorza", a w układach, toczonych w sprawie objęcia tronu i podpisanych w Krewie, przyobiecał przywrócić Polsce utracone dzielnice, t. j. ziemię pomorską. Rzecz prosta, ostrze tej obietnicy zwracało się przedewszystkiem przeciwko Krzyżakom. Walka zatem z zakonem Teutońskim miała stać się zagadnieniem zasadniczem zarówno dla Jagiełły, jak i jego następców. Tu dodać należy, że ta walka miała być oparta nietylko na polskiej racji stanu, t. j. testamencie kazimierzowym, lecz i na litewskiej, polegającej na złamaniu krzyżactwa, sięgającego coraz więcej po samą Litwę i napierającego na nią od zachodu t. j. od ziemi wytępionych już Prusów (dzis. Prusy Wschodnie), i od północy, od Dźwiny, gdzie państwo Kawalerów Mieczowych ogarnęło kraje litewskich Kurów i Liwów (dzis. Łotwa) oraz fińskich Estów (dzis. Estonja). Niemiec zatem w postaci Krzyżaka czy Kawalera Mieczowego, odpychający Polskę od ujścia Wisły, a Litwę od ujść Niemna i Dźwiny, stał się zasadniczym wrogiem polsko-litewskiej monarchji Jagiellonów.

Jednocześnie ciż sami Niemcy opanowali w zupełności całe morze Bałtyckie. Handel na niem był całkowicie w rękach związku Hanzeatyckiego. Południowe i wschodnie wybrzeża Bałtyku należały do cesarstwa niemieckiego, bądź, jako lenne księstwa meklemburskie, gdzie panowali zniemczeni potomkowie obotryckiego księstwa Niklota, i pomorskie, w którem władcy byli uzależnieni politycznie i finansowo zarówno od Hanzy, jak i od Krzyżaków, bądź, jako ziemie zakonu Teutońskiego, sięgające od ujścia Wisły, aż po brzegi zatoki Fińskiej. Państwa skandynawskie, których królowie od czasów układu Sztralzundzkiego w 1370 r. byli zatwierdzani przez związek Hanzeatycki, choć panowały nad cieśninami, wiodącemi z morza Północnego na Bałtyk, i pobierały nawet rogatkowe od przechodzących przez te cieśniny statków, jednakże trawione wciąż zamieszkami wewnętrznemi nie były w stanie przeciwstawić się rosnącemu ustawicznie naciskowi niemieckiemu na Bałtyk. Połączyła coprawda wszystkie trzy krolestwa, t. j. duńskie, norweskie i szwedzkie, w jedno państwo córka Waldemara IV duńskiego, zmuszonego do przyjęcia układu Sztralzundzkiego, królowa Małgorzata (1376 — 1412), zawierając słynną unję Kalmarską w 1397 r., lecz wzajemne antagonizmy, szczególniej duńsko-szwedzki, oraz wyczerpanie finansowe i polityczne Danji, Norwegji i Szwecji, pozostałe w spadku po długotrwałych wojnach poprzednich, nie pozwalały Skandynawom na żadną energiczniejszą akcję przeciwniemiecką. Hanza i Krzyżacy panowali na Bałtyku niepodzielnie, lecz właśnie to pewnego rodzaju *condominium* zaczęło podważać władanie niemieckie zarówno na morzu, jak i na wybrzeżach, i to podważać na rzecz Polski. Mianowicie Hanza, mająca swój zarząd główny w Lubece, zajmowała się przedewszystkiem zagadnieniami handlowemi, dążąc do zmonopolizowania w swem ręku całego ruchu handlowego, jaki z krajów, położonych nad Bałtykiem, przelewał się na to morze. Miasta hanzeatyckie znajdowały się i na Pomorzu nadodrzańskiem, jak Rostok, Szczecin, Kołobrzeg, i na nadwiślańskiem, jak Gdańsk, Toruń, Królewiec, i nad ujściem Dźwiny, jak Ryga, i wewnątrz monarchji jagiellońskiej, jak Kraków (choć w Polsce kupieckie rady hanzeatyckie przestrzegały od czasów Łokietkowych bardzo skrupulatnie swej lojalności względem państwa i zajmowały się wyłącznie kwestjami handlowemi), i wewnątrz cesarstwa niemieckiego, jak Wrocław. Tymczasem zakon Teutoński, władając olbrzymim, żyznym i bogatym pasem ziemi nadbałtyckiej, ciągnącym się na 700 klm wzdłuż i 200 klm. wszerz, zaczął dążyć również do zmonopolizowania ruchu handlowego w swem ręku. Przedewszystkiem, zostały założone rządowe, t. j. należące do zakonu, wytwórnie, jak młyny, olejarnie, szlifiernie i t. p., które z natury rzeczy stanowiły poważne współzawodnictwo dla analogicznych zakładów, będących własnością przedsiębiorców hanzeatyckich. Następnie, naprężone stosunki polityczne z Polską doprowadziły do zahamowania dowozu towarów, idących z głębi dzierżaw polsko-litewskich ku Gdańskowi i Rydze. Obszary te były największem i najbogatszem zapleczem wspomnianych portów, ciągnących niesłychane zyski z przywożonego polskiego zboża i litewskiego drzewa, poszukiwanego na całym Zachodzie Europy. Tymczasem Jagiełło zawarł w 1390 r. układ z księciem Bogusławem pomorskim, na mocy którego cały spław polski został skierowany Odrą do Szczecina. Było to uderzenie podwójne: po pierwsze, podcinało finansowo najbogatsze miasta krzyżackie, a tem samem jątrzyło w nich ludność przeciwko zakonowi, który doprowadził do takiego stanu rzeczy, a po drugie, nawiązywało zerwaną za czasów Ludwika Węgierskiego nić między Polską a Pomorzem nadodrzańskiem. Wreszcie, zakon Teutoński, działając nietylko ekonomicznie, lecz i politycznie, z jednej stro-

ny tępił najstaranniej w swych ziemiach ludność tubylczą, słowiańską i litewską, a z drugiej cisnął podatkami i świadczeniami sprowadzany z głębi Niemiec żywioł germański. Ta chęć zmonopolizowania handlu bałtyckiego, co wystąpiło szczególniej w końcu XIV-go stulecia, z chwilą wystawienia przez zakon potężnej floty, która wymiotła z powierzchni Bałtyku związek korsarski „braci Witalijskich" czyli „Likendelerów", będących postrachem Hanzy i mających swe gniazdo na Gotlandji, wywoływała coraz bardziej cierpkie stosunki między Lubeką a Malborgiem. Ucisk zaś polityczny i fiskalny łączył coraz silniej polską ludność rolniczą, w szczególności rycerstwo, siedzące na prawie lennem, z napływowym żywiołem niemieckim, trzymającym się w miastach. Rej wiodła szlachta ziemi chełmińskiej, graniczącej z Mazowszem, która już w 1397 r. założyła tajny związek „jaszczurczy", mający na celu obalenie rządów krzyżackich i przyłączenie spowrotem całego Pomorza do Polski.

Zakon widział dobrze grożące niebezpieczeństwo i walczył z niem uparcie. Przedewszystkiem wyzyskał zabiegi polityczne, chcąc skierować przez rządzącego z ramienia Jagiełły Litwą, jego brata stryjecznego, księcia Witolda, ekspansję monarchji jagiellońskiej na wschód i wskazując mu na olbrzymie możliwości podbojowe na Rusi Moskiewskiej w walce z Tatarami. W tem znalazł on chętny posłuch wśród możnowładców małopolskich, którzy wprowadzili Jagiełłę na tron i zyskali za to niezmierzone obszary na wschodnich rubieżach państwa. Następnie, zaczął zakon Teutoński czynić starania o uzyskanie ziem nadnoteckich, t. zw. Nowej Marchji, wciskającej się klinem między Polskę i Pomorze nadodrzańskie. Starania Krzyżaków zostały uwieńczne skutkiem pomyślnym i ziemie nadnoteckie wpadły w ich ręce. Książę Bogusław V szczeciński złożył coprawda hołd Jagielle w 1403 r., jednakże Krzyżacy zmusili niebawem zarówno syna jego Świętobora III, jak i księcia na Słupsku, Bogusława VII do uznania swego zwierzchnictwa.

Tymczasem plany ekspansji na wschód rozchwiały się bez śladu w bitwie nad Worsklą, gdzie książę Witold został pobity na głowę przez Tatarów, a przez to plany możnowładców małopolskich zostały zniweczone i Polska zwróciła się spowrotem ku zachodowi. Rozpoczął się niebawem szereg wojen polsko-litewsko-krzyżackich. Słynne zwycięstwo grunwaldzkie 1410 r. złamało zakon pod względem wojskowym i napełniło otuchą zarówno serca polskie, jak i uciemiężonych Pomorzan. Krzyżacy mieli jeszcze pomoc w postaci rycerstwa zachodnio-euruopejskiego, śpieszącego im w sukurs, lecz na miejscu musieli walczyć z przygniatającemi ich liczebnie siłami Jagiełły, mając wzmagający się wciąż ferment wewnątrz kraju i niechętne stanowisko Hanzy. Po klęsce grunwaldzkiej przyszła klęska pod Wiłkomierzem 1435 r. Krzyżacy tracili urok niezwyciężoności. Wojska polskie zjawiały się już stale na Pomorzu nadwiślańskiem. Książęta nadodrzańscy wyłamywali się z posłuszeństwa zakonowi, ciążąc coraz więcej do Krakowa. Ludność miejscowa, bez różnicy pochodzenia, stawała coraz hardziej przeciwko komturom zakonnym, mówiąc bez ogródek ustami burmistrza toruńskiego, przemawiającego w imieniu stanów pruskich, że wyszuka sobie takiego władcę, który im pokój zapewni. W dodatku układ polsko-krzyżacki, zawarty w Brześciu Kujawskim w 1435 r., nałożył na zakon Teutoński klauzulę, że o ile Krzyżacy złamią pokój z Polską, to ich właśni poddani mają prawo podniesienia rokoszu. Duch powstańczy wrzał więc w ziemiach zakonnych coraz silniej.

Likwidację zagadnienia krzyżackiego wstrzymało na kilkanaście lat możnowładztwo małopolskie z biskupem Zbigniewem z Oleśnicy na czele. Dążyło ono wytrwale do powiększenia swego stanu posiadania na wschodzie, a po śmierci Jagiełły zainteresowało się możliwością ekspansji na południe, na Węgry i półwysep Bałkański. Rozszerzenie państwa rokowało, jak mniemali możnowładcy wielkie korzyści, dla których nie wahali się poświęcić testamentu Kazimierza Wielkiego, wskazującego Polsce na Pomorze i Zachód. Dążenia tego rodzaju, prowadzące w konsekwencji do walki z Turcją, były obce rdzeniowi narodu, ziemianom wielkopolskim i mazowieckim, przyzwyczajonym od wieków do strażowania na północnych i zachodnich rubieżach oraz pamiętających, że ku Bałtykowi wskazywali rodzimi Piastowie. Możnowładcy swoją drogą przeforsowali ideę południowo-wschodnią za następcy Jagiełły, Władysława III-go, (1434 — 1444) który koronę węgierską i marzenia bałkańskie, przypłacił życiem pod Warną. Następca jego, młodszy syn Jagiełły, energiczny i systematyczny Kazimierz IV Jagiellończyk (1447 — 1492) przystąpił do realizowania testamentu piastowskiego.

Kazimierz Jagiellończyk wyzyskał w danym wypadku nader umiejętnie ferment wewnętrzny, jaki się szerzył na ziemiach zakonu. Ucisk polityczny, fiskalny i narodowościowy, uprawiany przez Krzyżaków, doprowadził do przekształcenia się tajnego związku „jaszczurczego" w jawny związek „pruski", obejmujący wszystkie miasta nietylko na dawnych ziemiach polskich, utraconych za Kazimierza Wielkiego, lecz i w krainie wytępionych Prusów, między Wisłą a Niemnem, oraz duchowieństwo i rycerstwo na całem terytorjum zakonu. Powstanie wybuchnęło 4 lutego 1454 r. i ogarnęło cały kraj. W rękach wielkiego mistrza i kapituły zostały się jedynie Malborg i Sztum na prawym brzegu Wisły, a Chojnice na lewym. W dodatku Kawalerowie Mieczowi, oddzieleni od posiadłości zakonu Teutońskiego zwróconą Jagielle Żmudzią, nie mogli dać żadnej pomocy, a cesarz niemiecki, zaabsorbowany niebezpieczeństwem tureckiem, ograniczał się do platonicznych odezw. Delegacja powstańców pomorskich i pruskich stanęła w dwa tygodnie po wybuchu powstania przed Jagiellończykiem, prosząc go o przyjęcie zpowrotem do Polski zarówno Pomorza nadwiślańskiego, jak i ziemi pruskiej. Wywiązała się z tego słynna wojna 13-letnia (1454 — 66). Prowadziły ją nader uporczywie obie strony. Zakon Teutoński przeciągnął na swoją korzyść księcia Eryka pomorskiego, który otworzył przez to dostęp posiłkom, ściąganym przez Krzyżaków z głębi Niemiec. Posiłki te maszerowały przez Pomorze nadodrzańskie i koncentrowały się w Chojnicach. Poza tem Krzyżacy trzymali się uporczywie linji dolnej Wisły, pilnując na niej główniejszych przepraw w Tczewie, Gniewie, Nowem i Swieciu. Polska uderzała w dwóch kierunkach: na Chojnice, główny punkt oporu krzyżackiego na Pomorzu nadwiślańskiem, i na Łasin, stanowiący wrota do ziemi pruskiej. Początkowo były wysłane posiłki, składające się z gwardji królewskiej i zaciężnych

oddziałów czeskich, na pomoc powstańcom, oblegającym Malborg i Sztum, a potem zostało zwołane pospolite ruszenie, najpierw z Kujaw, potem z województw wielkopolskich, wreszcie zaś z całego królestwa. Między powstańcami prowadziły z największym zapałem walkę o przyłączenie do Polski miasta pomorskie, jak Gdańsk, Elbląg i Toruń. Szczególniej odznaczył się Gdańsk, wystawiając nietylko liczne oddziały wojsk lądowych i łożąc dziesiątkami tysięcy dukatów na potrzeby wojenne, lecz formując znaczne siły morskie w postaci flotyll kaperskich, które przecinały dowóz kontrabandy wojennej, dostarczanej Krzyżakom drogą morską do Królewca, opanowanego z powrotem przez wielkiego mistrza po zwycięstwie krzyżackiem pod Chojnicami, oraz do Kłajpedy. Flotylle gdańskie zdołały odpędzić nawet flotę króla duńskiego Chrystjana I-go, który zawarł przymierze z Krzyżakami, i wypowiedział wojnę Polsce w maju 1455 r., i trzymały na wodzy eskadry hanzeatyckie z Lubeki, które chętnie, dla zarobku, podejmowały się przewozu broni, amunicji i zaciężnego żołnierza na rzecz wielkiego mistrza. Zwycięstwo zwolna, ale stanowczo kłoniło się na stronę polską. W 1457 r. załoga krzyżacka wydała w ręce polskie stolicę zakonu, Malborg. Nastąpił potem trzykwartalny rozejm, poczem działania wojenne rozpoczęły się na nowo. W 1460 r. Krzyżacy zajęli Puck i Lębork, lecz na morskiem wybrzeżu zjawił się osobiście Kazimierz Jagiellończyk na czele hufców przybocznych i oddziałów tatarskich. Przeciwko Chrystjanowi duńskiemu wysunęła Polska pretendenta do tronu szwedzkiego, Karola Knutsona, i wywołała tem dywersję w operacjach duńskich, które szybko likwidowali kaprowie gdańscy, jak Jakób Vochs i Szymon Lubbelow. Wreszcie pod Żarnowcem Piotr Dunin z Prawkowa na czele żołnierzy królewskich i knechtów gdańskich rozbił na głowę 17 września 1462 r. armję krzyżacką pod komendą Kacpra von Nostitza i Fryderyka Rawenecka. W związku z tem zwycięstwem kapitulowały zamki krzyżackie, pilnujące przepraw nad Wisłą w Gniewie i Nowem, i poddał się Puck, a jednocześnie złożyły broń oddziały, trzymające się do ostatka w ziemi Chełmińskiej. Nakoniec, 28 września 1466 r., wywieszono białą chorągiew w ostatniej twierdzy krzyżackiej na Pomorzu nadwiślańskiem, Chojnicach. Był to cios stanowczy. Wielki mistrz, Ludwik von Erlichshausen, za pośrednictwem legata papieskiego Rudolfa, biskupa Lewantu, zwrócił się z prośbą o pokój. Układy trwały krótko i skończyły się zawarciem traktatu Toruńskiego, podpisanego 19 października 1446 r. Traktat ten zwracał Polsce ustąpione swego czasu układem Kaliskim Pomorze nadwiślańskie i dodawał do tego w ziemi pruskiej Warmję oraz obwód malborski. Reszta ziemi pruskiej ze stolicą Królewcem stała się lennem Polski. Ziemie pomorskie były połączone z macierzą z uwzględnieniem szerokiej autonomji, zachowując odrębne prawodawstwo, sądownictwo i administrację. Wyrazicielem tej autonomji stał się sejmik prowincjonalny w Grudziądzu. Nie rugowano języka niemieckiego, którego używała większość bogatego mieszczaństwa, złożonego z elementów napływowych. Pod względem administracyjnym została podzielona ziemia pomorska na trzy województwa: chełmińskie, malborskie i pomorskie. Miasto Gdańsk za wierną i pełną poświęcenia służbę Polsce w czasie tej 13-letniej wojny uzyskało specjalnie szereg przywilejów, mianowicie: powiększenie obszaru miejskiego przez przyłączenie sąsiednich osad i dóbr zakonnych, całkowite prawo rządzenia się na tym obszarze oraz nakładania podatków na nim, regulowanie ruchu portowego i zamykanie oraz otwieranie portu. Pozatem miał prawo Gdańsk do bicia własnej monety z wizerunkiem panującego króla polskiego, do używania czerwonego wosku na pieczęciach i do umieszczenia królewskiej korony polskiej nad swym dotychczasowym herbem — dwoma krzyżami. Przywileje powyższe nosiły nazwę „przywilejów Kazimierzowych" i były podwaliną przyszłej wielkości i znaczenia miasta. Wzamian za te przywileje był obowiązany Gdańsk do uiszczania 2 tysięcy dukatów rocznie, utrzymywania króla wraz z jego dworem trzy dni w roku oraz do zachowania prawa apelacji od sądów miejskich do króla. Przedstawicielem monarchy polskiego był burgrabia gdański, mianowany przez króla z pośród ośmiu przedstawionych mu kandydatów.

Król Kazimierz Jagiellończyk na znak panowania swego nad całą ziemią pomorską i pruską, t. j. nad terytorjum, ciągnącem się od jeziora Żarnowieckiego aż do ujścia Niemna pod Kłajpedą, przybrał tytuł „pana i dziedzica Prus". Polska znów odzyskała swe prastare dziedziny z dołączeniem, lennem coprawda, obszarów między dolną Wisłą i Niemnem. Te obszary lenne stanowiły jakby pewną kompensatę za nieodebrane ziemie Pomorza Nadodrzańskiego. Choć i na te terytorja zwrócił uwagę Jagiellończyk, wydając zamąż za księcia Bogusława X, pana na całem Pomorzu Zachodniem, swą córkę, Annę, i utrzymując ze swym zięciem zażyłe stosunki, które wciągały Szczecin w orbitę wpływów Krakowa.

(Dok. nast.) WITOLD HUBERT

WZNIOSŁOŚĆ W „PANU TADEUSZU"

IV

W WIERSZU „Na szczycie piramid" Słowacki, kiedy już opisał to wszystko, co widział z ich wysokości, mówi:

. . . . „I większy był jeszcze
Widok — w myślach — na wieki, lecące jak deszcze
Po granitowych ścianach, na pożarów łuny,
Na ogromnych wypadków bijące pioruny".

Otóż nietylko w rzeczywistości — w naturze i w życiu ludzkiem — są takie rzeczy: i w poezji są utwory, od których widoku, albo raczej po ich przeczytaniu, większy jest jeszcze widok od ich treści — we własnej duszy, w myślach. Do takich utworów należą np. „Prometeusz" i „Oresteja" Eschylosa, obydwie tragedje Sofoklesa o Edypie, „Boska Komedja" Dantego, „Hamlet" Szekspira, „Don Kiszot" Cerwantesa, „Raj utracony" Miltona, obydwie części „Fausta" Goethego, W tym szeregu jest miejsce i dla „Pana Tadeusza". Do niego też przedewszystkiem odnieść można to, co Sienkie-

wicz kiedyś powiedział o poezji Mickiewicza: „Pieśń jego kończyła się aż gdzieś na niebios progu, tak doskonała, tak prawie nadziemska, że wówczas nawet gdy przestawał grać, a to echo grało... Echo serc polskich". Ale nietylko serc, bo i myśli także.

W sercach naszych muzyka „Pana Tadeusza" gra nietylko jego cudownym artyzmem, ale także miłością ziemi polskiej, której piękność w jej „całej ozdobie" opisał dopiero Mickiewicz, i miłością polskiego ducha narodowego, która się w tym poemacie ukazuje w całym swoim blasku. Słusznie nazwano „Pana Tadeusza" „unieśmiertelnieniem polskości" [1]). Nie idealizował jej Mickiewicz, nie ukrywał jej znamion ujemnych, nie tworzył ludzi-aniołów. Przeciwnie: pokazał nam ludzi w całej ich prawdzie, i to ludzi przeciętnych, myślących nie tyle o duszy, ile o ciele, o groszu, o rozrywkach i zabawach, ludzi, nie zawsze idących prostemi drogami, a do tego strasznie kłótliwych. Ale, nie mówiąc już o tym wyjątkowym człowieku, który z upadku moralnego dźwiga się na wyżyny heroizmu moralnego, — nawet i w duszach owych przeciętnych ludzi (z wyjątkiem jednego tylko zaprzańca — Majora) mieszka Pan Bóg, bo raz po raz odzywa się w nich głos obowiązku moralnego, a w szczególności głos miłości ojczyzny, który zagłusza w nich prywatę i niezgodę. W żadnym utworze naszej poezji niema takiej harmonji pomiędzy ujemnemi a dodatniemi właściwościami natury polskiej i wogóle ludzkiej. A szczytem tej harmonji jest cała pieśń ostatnia, będąca wcieleniem artystycznem owego prześlicznego hasła, jakie wydała kultura staropolska: „Kochajmy się!". Czy na widok tej zgody, która w obliczu wojny za wolność ojczyzny nastąpiła w tak niezgodnem społeczeństwie, jak nasze, nie powstaje w sercach polskich „widok... większy jeszcze", czy nie rodzi się w nich wiara w przyszłość Polski, i czy to uczucie nie jest uczuciem wzniosłem? A w myślach?

„I ja tam z gośćmi byłem, miód i wino piłem,
A com widział i słyszał, w księgi umieściłem".

Tak, z jednym jedynym wyjątkiem Homera' żaden poeta nie wczuł się tak głęboko w to wszystko, co widział i słyszał w swojem społeczeństwie, w myśli i w uczucia, i w uczynki tych ludzi, którzy byli „gośćmi" jego twórczej fantazji. Tylko że, wczuwając się w ich życie, czuł się od nich (z wyjątkiem odrodzonego Jacka) bez porównania wyższym, niż Homer od swoich bohaterów. I nie dziw: był przecie poetą, starszym od Homera o kilkanaście wieków kultury. I oto podziw zdejmuje człowieka, kiedy, po przeczytaniu „Pana Tadeusza", uprzytomni sobie w myślach, że ten poeta, pomimo, że sobie jasno uświadamiał własną wyższość od swoich „gości", brał tak serdeczny udział nietylko w ich szlachetnych porywach, nietylko w ważnych wypadkach ich życia, ale także w ich życiu codziennem, pospolitem, w jego drobnych szczegółach — czyto w grzybobraniu, czy w polowaniu, czy w kłótni o charty, czy w biesiadach, czy w strojach. W poezji Homera taka epicka szczegółowość wydaje się nam, ludziom nowoczesnym, czemś zupełnie zrozumiałem: był to przecie człowiek, chociaż niewątpliwie nad swój wiek wyższy, jednak, ze stanowiska naszej skomplikowanej kultury, prosty, więc nie dziwimy się, że za przedmiot, godny swojej genjalnej poezji, poczytywał nie same walki bohaterskie, ale i pranie bielizny przez dziewczyny feackie. Ale Mickiewicz! Jego drobiazgowość epicka tłumaczy się, zapewne, tęsknotą po kraju lat dziecinnych, o którym wiedział, że więcej go już nie zobaczy, — ale tylko po części. Głównem jednak źródłem tej drobiazgowości i wogóle takiego, a nie innego ujęcia artystycznego treści jest jego pogląd na świat, — pogląd, nietylko mądrego i doświadczonego, ale i wielkiego człowieka. „Wielkim humorem" nazwał taki pogląd zmarły niedawno myśliciel duński, Harald Höffding [2]).

Na czemże ten humor polega? Nie na spoglądaniu zgóry na drobiazgi życia ludzkiego, a cóż dopiero na ich ośmieszaniu, tylko na zrozumieniu, że życie jest życiem i że różne drobiazgi są niezbędnym i godziwym jego czynnikiem, że więc nie zasługują one na śmiech, a cóż dopiero na szyderstwo, tylko na uznanie, a jeśli nie, to na pobłażliwy uśmiech. I nie na bezwzględnem potępianiu ujemnych ze stanowiska moralnego stron życia, nie wyłączając nawet przestępstw i zbrodni, a cóż dopiero drobnych ułomności, polega „wielki humor", tylko na wyrozumieniu, że świat jest światem, że złe krzyżuje się na świecie z dobrem, co więcej, że złe nieraz bywa *beatum scelus*, jak powiedział św. Augustyn, albo, że jest, jak mówi Krasiński, tylko

. . . . . „przejściem — tylko pyłem drogi —
Jeśli piorunem — to doczesnej burzy —
Jeżeli cierniem — to łodygi róży,
Której kwiat płonie tam, gdzie bogów drogi"!

Tego „wielkiego humoru" próżnoby szukać w powieściach naturalistów zachodnio-europejskich i rosyjskich drugiej połowy XIX wieku, pomimo ich rozmiłowania w drobiazgach życia, nie mówiąc już o romantykach, zwłaszcza niemieckich, swoistego humoru czyli raczej ironji, a czasem i martwej apatji względem własnych wizyj artystycznych, tak nie lubił Goethe — on, twórca nietylko „Fausta", ale także „Hermana i Doroty". Jest coś z „wielkiego humoru" u niektórych powieściopisarzy angielskich, nadewszystko u złotego Dickensa.

U romantyków polskich „wielki humor" jest jedynie w poezji Mickiewicza, albo raczej w jednym tylko jej utworze — w „Panu Tadeuszu". Miłość życia i płynąca z niej prawda jego widoków w tym cudzie poezji wywołuje „większy jeszcze widok — w myślach", widok mędrca, który „na wieki, lecące jak deszcze po granitowych ścianach", to znaczy na przebieg i naturę życia ludzkiego, podległego nietylko dobremu, ale i złemu, patrzy spokojnie, bo w sercu jego tkwi głęboko gorąca wiara religijna w najwyższą ze wszystkich wartości życia — w zwycięstwo dobrego nad złem.

I kto wie, czy z tylu wzniosłych widoków w „Panu Tadeuszu" ten widok nie jest „w myślach" najwznioślejszy — wzniosłością nie gwałtowną, nie burzliwą, nie straszliwą, tylko cichą, spokojną, pełną wyrozumiałej miłości człowieka,

[1]) Bronisław Chlebowski: „Literatura polska" 1795 — 1905. Lwów, 1923, str. 136.

[2]) W książce *„Den store Humor"*; w przekładzie niemieckim: *„Humor als Lebensgefühl" (Der grosse Humor)*, Lipsk, 1918. Korzystał już z tej książki Pigoń, charakteryzując humor „Pana Tadeusza" (w wymienionym wyżej „Wstępie").

mocnej wiary w wartości moralne własnego narodu i, co za tem idzie, w szczęśliwą przyszłość ojczyzny.

To, co Kremer mówi w „Listach z Krakowa" o działaniu piękna na duszę ludzką, do żadnego innego utworu poezji polskiej nie przystaje w tym stopniu, jak do „Pana Tadeusza":

„Miej serce, oczy, duszę otwarte dla piękności, — ona wstąpi radośniej do piersi twoich, i będzie ci uroczysto, świąteczno w duszy, i wśród niebiańskiego wesela wszystkie ducha twojego tony się odezwą i zestroją się z sobą, i zagrają jakby hymnem i psalmem, i przestanie ci w duszy płakać i kwilić, a zapomnisz boleści, przebaczysz krzywdy i urazy, świat cały i ludzi wszystkich obejmiesz z miłością, przeszłe i przyszłe wieki będą Ci braćmi w wiekuistości. Odetchniesz szeroko, wesoło, swobodnie, jakbyś był po uniknieniu wielkiego nieszczęścia, od którego właśnie boża ręka cię zachowała; odetchniesz wolno, swobodnie, jakbyś sprawił coś wielce zacnego, jakbyś uratował nieprzyjaciela swego od biedy i zaguby — uczujesz się mocny na duszy, spotęgowany w sobie, jakby ci Anioł Pański podał wzmocnienia puhar".

IGNACY CHRZANOWSKI

ABU'L KASSEM MANSUR FIRDUSI

Z „KSIĘGI KRÓLEWSKIEJ" (SZAH NAMEH)

SŁOŃCE

...Zaś niebo jest nie z wody, nie z mgły i nie z dymów,
ale z owych czerwonych kamieni - olbrzymów,
co przemożnem zaklęciem wywiedzione z cienia
przypominają ogród w pierwszym dniu stworzenia.
Na niebo słońce spływa. W jego jasnej sferze
człowiek życie i radość, a dzień światło bierze.
O wschodzie niesie głowę nad chmur pościelIska
i, do tarczy podobne szczerozłotej, błyska.
Jak uśmiechem, jarzącym się skrywa obłokiem
padół, który bez niego nocą jest i mrokiem.
...Gdy na zachodzie czoło pochyli promienne,
zapala się w niebiosach lampa nocy sennej,
biały księżyc...

UPADEK DŻEMSZYDA

...Gdy więc Tahmury dziedzic, król Dżemszyd dokonał swych
[wspaniałych
zamysłów, sądził w pysze złej, że jest najmędrszym wpośród
[całych
światów mocarzem, Szczęście mu sprzyjało w dziele górnem,
[wielkiem,
dlategoż dumną powziął chęć, by wznieść się nad stworzeniem
[wszelkiem!
Olśniewający rzeźbi tron, klejnotem rozlśnił go bezcennym
i diwom, najwierniejszym z sług, podźwignąć kazał ku
[płomiennym
jutrzniom niebieskim. Wdały pan zasiadał na nim, jako
[w górze,
ponad padoły, słońce — tam! — zasiada na złocistej chmurze
Wokół Dżemszyda tronu — tłum: męże stanęły znakomite,
składając do królewskich stóp skarby, tkaniny srebrnolite.
Możni, z radością w głębi serc, błysnęli ku Dżemszyda cześci
biesiadą pyszną, kędy moszcz, pianą w puharach lśniąc,
[szeleści,
kędy igrcowie, śpiewy, pląs nadobnych panien, kędy kwiaty...

*

...Mijały lata.
Wielki król Dżemszyd sprawował rząd spokojny
nad ludźmi, czynom zawsze rad szlachetnym, dobrodziejstwy
[hojny.
Nawiedzał myśli jego bóg, tajemniczemi jęty blaski.
Przez długi wiek, przez długi wiek Dżemszyd ludowi
[świadczył łaski.
Korzył się padół, z możnych rąk władyki dary mając szczodre.
Aliści nadszedł łzawy świt i niebo się zećmiło modre.
Bo ku tronowi patrząc wzwyż, nad którym królów się kolebie
szkarłatne znamię, w pysze złej zobaczył Dżemszyd jeno siebie!
On, co przebogom hołdy niósł, wonną okadzał ich objatą.
odmówił najwyższemu chwalb!
...I ukarany został za to.

*

Przez gońce i gromami surm przywołał Dżemszyd kwiat rycerzy
udałych i w dworzyszczu swem ugwarzał z nimi przy wieczerzy.
Tak do sędziwych wojów rzekł: „Zaprawdę, na padole całym
jam najmądrzejszy Król i Duch. Ani się komu ze wspaniałym
rozumem moim równać. Tron otaczam światłem niezrównanem
i wszechpotężnie dzierżę włość, diwom i ludziom będąc panem.
Mnieście to winni waszą karm i żywot, słodką snu ukojność.
Odemnie macie bezlik szat. Ja przyoblokłem was w dostojność!
Tedy królowy djadem, rząd i berło słusznie mą ozdobą!
I któż się ze mną mierzyć śmie, jakiegoż pana mam nad sobą?
Przeto, jeżeli wiecie dziś, kim jestem, kniazie, grodoburce,
Tahmury szczep uwielbcież wy, Dżemszyda — króla, świata
[stwórcę!"
Struchleli, kiedy do nich pan przemówił bluźnierczemi słowy,
starzy rycerze i na pierś w osmętku opuścili głowy.

*

Więc odtąd świętych słońce łask zgasło nad dżemszydowem
[czołem.
Lud z nim się zwaśnił. Tam, gdzie król, wielmoże nie chodzili
[społem.
U dworu nie zagościł nikt. I odbieżali starce wierne,
i przez dwadzieścia lat i trzy ciżby nie chcieli wieść rycernej.
Skoro się rozum człeczy mdły śmie przeciwstawić woli bożej,
sam na się kręci kary bicz, pomyka ku zagładzie skorzej!
Roztropnie, o roztropnie rzekł sędziwy mędrzec: „Żeś jest
[władcą
i królem, bóstwa zawsze czcij, byś nie był zasię świętokradcą
nikczemnym, ku któremu gniew i złobne oko się obraca".
Schmurzył się nad Dżemszydem los, wielkość niesławnie się
[zatraca.
Królewskie berło, próżne chwał, z rządu wyzute leży w prochu.
Dżemszyd, Tahmury syn i król, bije się w piersi pełen szlochu
i błaga przebaczenia, w pył upadłszy. Ale nadaremno.
Luta niedola śpieszy, grom niosąca...

W tysiączną rocznicę urodzin
poety, przełożył

JANUSZ KAWECKI

NA WIDOWNI

Dwadzieścia lat temu i dzisiaj. — Były dwie wojny, z nich jedna domowa. — Złe manjery i etyka narodowa — Choroba Austrji i jej ofiary. — Kompleks Siczyńskiego. — Trup Dolfussa. — Prognoza.

DWADZIEŚCIA lat temu: koniec lipca 1914 — koniec lipca 1934. Czyż mam zgrywać się tutaj jako historyk tego patetycznego okresu? Dzięki Bogu jest z kim podzielić się tą robotą; historycy całego świata przeżuwają tę epokę: niech mi wolno będzie mówić o sobie.

Właśnie teraz, w czasie deszczów i powodzi, siedząc w Wiśle śląskiej, przypominałem sobie owe dni pogodne z lipca 1914 roku. Był to mój urlop (z redakcji „Słowa Polskiego" we Lwowie). spędzałem go w Kosowie u d-ra A. Tarnawskiego. Nigdzie nie czułem się tak dobrze na wakacjach, jak tutaj. Bo jeżeli wogóle słodkie jest próżniactwo, to tutaj było ono zorganizowane, miało swoją metodę. Słodycz rozkosznego bezwładu, doznawana w kąpieli słonecznej, ma w Kosowie przyprawę moralną w poczuciu, że człowiek spełnia szczytny obowiązek wobec swego zdrowia.

Nigdy nie czułem się tak daleko od spraw świata, jak onego dnia pod koniec lipca, kiedy dr. Tarnawski, odciągnąwszy mnie od towarzystwa, które zebrało się już na jego wykład, zażądał informacji politycznej. Udzielił mi się jego niepokój. To prawda, oczekujemy oddawna wojny, jesteśmy nawet na nią przygotowani, ale nie w Kosowie. To prawda, że jestem redaktorem dziennika, ale cóż człowiek może wiedzieć na urlopie. To prawda, że dzisiejsze dzienniki przyniosły wiadomość o mobilizacji Serbji i zapowiedź austryjackiej, ale przecież od tego do wojny, którąby nas ogarnęła, daleko. Niewątpliwie. Tarnawski tej myśli się uczepił. Prosił, żebym po wykładzie zabrał głos i publiczność kosowską swoim autorytetem dziennikarskim uspokoił. Widzi bowiem, że ten i ów zamierza wyjechać. Zrobi się panika. Wszyscy się rozpierzchną.

Położenie było trochę niezręczne. Istotnie było w Kosowie wiele osób z Podola, Ukrainy i z Królestwa. Gdyby wojna z Rosją tutaj je zaskoczyła, miałyby kłopot. Ale tyle naczytaliśmy się w dziennikach zapewnień, że Rosja uzna dobre prawo Austrji upomnienia się u Serbji o swoją powagę i o swoje krzywdy, że ostatecznie...

Po wykładzie powiedziałem, com wiedział, i nie wiedział. Poczem uspokojeni pociągnęliśmy sadem do pawilonu stołowego na wieczerzę. W czasie jedzenia doręczono mi telegram: przyjaciel mój Stanisław Biega wzywa, abyśmy zaraz przybyli do Lwowa — ja i Zygmunt Balicki. Powiedziałem o tem na ucho Balickiemu, a w kwadrans potem, przebrani, zdążaliśmy z walizkami ku bramie zakładu. Kuracjusze, baraszkujący na placu, niemile byli zdziwieni naszemi walizkami.

— Pojutrze wracamy — zapewniałem.

Istotnie Balicki wrócił ze Lwowa, ale tylko po to, żeby zabrać rzeczy. Był to chyba ostatni już pociąg, którym zdążył dojechać do Warszawy. Zamknęła się bowiem granica na spusty wojenne.

We Lwowie dowiedzieliśmy się prawdy. Wojna z Rosją była nieunikniona.

Na usprawiedliwienie przed sobą lekkomyślności, z jaką uspakajałem miłych towarzyszy kąpieli słonecznych w Kosowie, miałem ostatecznie to, że sam byłem w gorszem od nich położeniu. Sam, nie będąc obywatelem austrjackim, tak czy owak muszę pozostać we Lwowie i pełnić dalej obowiązek redaktora największego tutaj dziennika politycznego. Zameldowany byłem we Lwowie z paszportu rosyjskiego, wydanego w Warszawie w r. 1902 i mogłem każdej chwili być wydalony lub uwięziony. U steru stali Polacy, przyzwyczajeni patrzeć na mnie z szacunkiem. Niechętnie też słuchano tam nawoływań ze strony gorliwych socjalistów w służbie „strzeleckiej", robiących władzom zarzut, że pozostawiają mnie na wolności. Domagano się — pamiętam — więzienia dla mnie w pisemku tygodniowem, wydawanem przez namiestnictwo w celu propagowania formacyj zbrojnych ruskich. Robiło się nagwałt Ukrainę...

Namiestnik Galicji Korytowski był w trudnem położeniu. Jako wysoki urzędnik austrjacki stał na uboczu od walk orjentacyjnych w społeczeństwie polskiem, tymczasem sami Polacy czyniąc wrzaskliwą obławę, napędzali mu w ręce „zdrajców", których należy ścigać prawem wojennem. Ta gorliwość austrjacka w łonie społeczeństwa własnego była dokuczliwsza i niebezpieczniejsza od dozoru władz. Każde z państw zaborczych, wiedząc dobrze o tem, że wojna rozwiązywać będzie zagadnienie Polski, dbało o zjednanie Polaków dla siebie, pełne niepewności i wahań, jak wobec nich się zachowywać, We Lwowie wiedziano, że „Słowo Polskie" ma za sobą sfery oświecone i wpływami swemi sięga daleko poza kordon. Rewolucjoniści nasi skrupułów żadnych nie mieli. Polska polityka narodowa, którą „Słowo Polskie" reprezentowało, była im przeszkodą na drodze do celu, wówczas majaczącego przed nimi w kształtach ideału socjalistycznego. Ci sami ludzie dzisiaj ideał ten przeważnie zagubili, przejęli się polską racją stanu, niewątpliwie w duszy kają się błędu, jakim było tak gorliwe wysługiwanie się Austrji, ale pycha i nałogi nie pozwalają im wyprzeć się bojowej postawy wobec obrządku narodowego.

Nie mogło pozostać tajemnicą, że w maju tego roku na zjeździe delegatów obozu narodowego, odbytym w Wiedniu, ustalone zostało stanowisko na wypadek wojny po stronie państw koalicyjnych. Namiestnik liczył zrazu na rozłam, czekał, co zrobimy z Legjonem Wschodnim, który się formował we Lwowie analogicznie do strzeleckiego. Obóz jednakże „enkaenowy" parł władze do kroków represyjnych. Żydzi do entuzjazmu austrjackiego socjalistów dodawali pierwiastek egzaltacyjny i krwiożerczy. Atmosfera stawała się z każdym dniem duszniejsza. Gdyby władze austrjackie tej presji uległy, cała narodowo myśląca ludność Galicji znalazłaby się w obozach izolacyjnych.

Korytowski co kilka dni wzywał mnie do siebie i groził uwięzieniem. Razu pewnego zatrzymał mnie na ulicy i sposobem przestrogi oznajmił, że polecił aresztować Jana Zamorskiego, znanego działacza naszego i posła w Galicji Zachodniej. Więzienie ocaliło Zamorskiego od śmierci z rąk antagonistów politycznych. Pamiętniki, które kiedyś wyda, odsłonią całą ohydę ówczesnych stosunków.

Operacja wyzwalania Polski z więzów, połączona z rozcinaniem zrostów, jakie się potworzyły w obcych środowiskach, odbywała się w warun-

kach nader niehygjenicznych i groźnych dla narodowego Ethosu. Wspominam te czasy nie dlatego, by rozdrapywać rany, lecz dla tego, że do dnia dzisiejszego pielęgnowane są manjery złego wychowania w szkole socjalistycznej, która była szkołą nieustającej wojny domowej. Ocaliła Polskę żywotność, która przezwyciężyła niebezpieczeństwa dwu wojen; druga z nich była wewnętrzna. Ta druga była cięższa moralnie, bo obciążona winą. Tę zmazać trzeba, aby nie zakażała krwi, której potrzebuje życie Polski, na wielką skalę zakrojone, krwi czystej i silnem tętnem bijącej.

— — — — — — — — — — — —

Obecnie, gdy wspominam tamte rzeczy, zdaję sobie sprawę z tego, że oddziela mnie od nich nie tylko okrągła liczba lat, lecz wielka przemiana naszego świata. Jest już Polska państwowa nawet tutaj na Śląsku. Wszystko co dawniej miało swój front odwrócony gdzieś tyłem i groziło zagubieniem się w bezdziejowości, dziś podaje się ku ośrodkom Polski i polską barwi się kulturą. Śląsk zadawala się swojem życiem wojewódzkiem, daleki od wielkiej polityki polskiej, ale wdzięcznie odczuwa zmianę, jaka w stosunkach zaszła. Atmosfera tutaj czysta, ludzie prości nie znają kłamstwa. Dobrze się też między nimi wypoczywa i tem jaśniej się widzi zdaleka, jakim schorzeniom uległ nasz wielki świat inteligencki; tem lepiej się rozumie, jak bardzo potrzebne jest temu światu oczyszczenie etyczne.

Odstraszający przykład Austrji nie pozwala o sobie zapomnieć. I teraz słychać stamtąd strzały. Oczy całego świata zwracają się znowu ku niej. Drogi kłamane są labiryntem, w którym ludzie dostają szaleństwa i strzelają. Życie łaknie dróg prostych. Austrja zginęła od zakłamania. Ta resztka, szamocząca się ze swym losem, to tylko kadłubek tego germańskiego polipa, któremu wojna odcięła macki. Stoczona chorobą komplikowaną żydostwa, socjalizmu i kłamstwa dokonywa żywota w drgawkach konwulsyjnych. Upamiętniła się chorobami w życiu ludów, które przeszły jej szkołę i noszą w sobie dotąd zarazki kłamstwa, ba — wiary w genjusz kłamstwa twórczego. Pozostał po niej model człowieka z „bączkiem", bez duszy narodowej, mistrza w sztuce „nabijania w butelkę", który nawet gdy powie prawdę, to jeszcze wtedy kłamie. Ona to hodowała u nas bakterje „permanentnego" rewolucjonizmu polskiego i ukraińskiego. Jej to duch, jako „niewiadomego sprawcy", pokutuje w kompleksie powtarzających się zbrodni, noszącej miano „kompleksu Siczyńskiego". Żonglowała narodowościami, aby z nich wytworzyć jeden typ barwy państwowej czarno-żółtej, skończyło się na tem, że teraz sama nie wie, czem jest, jak okłamać głos własnej krwi.

Nie zdawano sobie dobrze sprawy wówczas o tej wakacyjnej porze, jaki skutek będą miały strzały w Sarajewie, nic więc dziwnego, że teraz świat jest pełen niepokoju, czy trup Dolfussa nie będzie miał tej wagi, co ówczesny arc. Ferdynanda, który wytrącił Europę z równowagi.

Lato — zaiste — mamy burzliwe. Bałbym się wszakże przepowiadać pogodę; mam już doświadczenie z tamtych czasów w Kosowie przed dwudziestu laty.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

NAJSTARSZYM na świecie, świadomie uprawianym rasizmem jest rasizm żydowski. W połączeniu z żydowskim, równie dawnym, nacjonalizmem stanowi on od tysięcy lat trwałą „tarczę dawidową", chroniącą żydostwo w jego czystości rasowej i ciągłości ideowej.

Jak bezwzględny jest rasizm żydowski, o tem ruz po raz świadczą nam zdarzenia życia bieżącego. Szkoda, że prasa polska nie pisze o tych zdarzeniach i nie stworzyła dla nich osobnej rubryki. Byłby to wymowny komentarz do krzyku, jaki podnoszą żydzi przeciw rasizmowi wogóle, a niemieckiemu w szczególności.

Oto jeden z najświeższych obrazków rasizmu żydowskiego. W syjonistycznym „Naszym Przeglądzie" zjawiła się notatka, w której powiedziano, co następuje:

„W dniu wczorajszym rozeszła się niepokojąca pogłoska, jakoby na jedno ze stanowisk w szpitalu żydowskim na Czystem ma być wyznaczony chrzczony żyd. W żydowskich kołach społecznych pogłoska spotkała się z nader żywem oburzeniem. Jest bowiem niedopuszczalnem, aby jedną z nielicznych już placówek pracy lekarzy żydowskich zajął człowiek obcy zupełnie społeczeństwu żydowskiemu, który tem samem pozbawia lekarza żyda możności pracy. Nie sądzimy, by naprawdę leżało w interesie władz nadzorczych szpitala żydowskiego, aby jedyną w stolicy komunalną placówkę pracy oddać w wyłączną „arendę" mechesów i ludzi nic wspólnego z żydostwem nie mających".

Notatkę opatrzono tłustym w druku i treści tytułem: „Groźba inwazji mechesów do szpitala żyd. w Warszawie".

Widzimy stąd, że nawet żyd, o ile ochrzczony, już w przekonaniu żydów stanowi ciało obce w społeczeństwie żydowskim. Wrażliwością swoją i bezwzględnością rasizm żydowski o wiele przewyższa najdalej idące zarządzenia hitleryzmu. A jednocześnie ten sam „Nasz Przegląd" codzień systematycznie i rasizm i nacjonalizm wogóle najbrudniejszymi obrzuca wyzwiskami i... najuczeńszymi obala argumentami. Ale to nie wprowadza w błąd najciemniejszego nawet czytelnika żydowskiego. Oprócz więzi rasowej i narodowej, żydzi związani są ze sobą ideją oszukiwania goimów. Trzy tysiące lat conajmniej praktyki doprowadziło ich w tem do mistrzostwa.

W danym tu i w podobnych mu wypadkach sztuka dziennika polega na tem, że: 1° podaje czytelnikom swoim gotowe wzory argumentów i wyzwisk, któremi należy zwalczać nazewnątrz *ghetta* wszelkie rasizmy i nacjonalizmy gojowskie, i 2° przed oczy gojów podaje czarno na białem dowody, że żydzi zasadniczo zwalczają wszelki rasizm i nacjonalizm. Zaś w praktyce swojej, bez głoszenia nazw i teoryj, jawnie i publicznie rządzą się żydzi według wskazań własnego rasizmu i nacjonalizmu, licząc na (powiedzmy) dziwną właściwość ogółu ludzkiego, który nie dostrzega tego, co nie jest palcem wskazane i nie odkrywa tego, co nie jest imieniem nazwane.

NAUKA i LITERATURA

PRZEKŁAD NAGRODZONEJ POWIEŚCI

RZADKO pojawiają się w Polsce przekłady z literatury węgierskiej. Tembardziej interesującem zjawiskiem jest doskonały przekład powieści Körmendiego[1]). Sama powieść stanowić może także nieprzeciętny przedmiot zainteresowania. To jednak raczej dzięki niewątpliwemu talentowi autora, niż pełnej doskonałości artystycznej jego dzieła.

Książka jego bowiem obok zawsze dobrej formy, obok znakomitych czasem fragmentów (np. wplątanie odczytywanych na ulicy szyldów sklepowych w ociężały tok myśli bohatera, który, złamany nieszczęściem, snuje się bez celu po Londynie) cierpi na brak podstawy ideowej, któraby dobre fragmenty zjednoczyła w doskonałą całość. Czytając doznaje się czasem czegoś w rodzaju żalu, że te dobre i ciekawe fragmenty błąkają się jakby zdezorjentowane. Książka węgierskiego autora, nagrodzona na międzynarodowym konkursie, stanowi dobry przykład współczesnej powieści, a nawet całej sztuki, która rozporządzając wydoskonalonemi środkami artystycznemi boi się, i słusznie, doktryny, ale niesłusznie ucieka, czy też bezowocnie szuka, szerokiej podstawy ideowej. Dlatego to wszelka, nieśmiało zresztą występująca u Körmendiego refleksja, wypowiadana jest nie wprost, ale na odpowiedzialność bohaterów. Autor obawia się mówić od siebie, bo to jest sprzeczne z współczesnym snobizmem artystycznym i ucieka się do metody reportażowej.

Mimo wszystko taki reportaż zawsze jednaki, w mniejszym lub większym stopniu opowiada nie o faktach tylko, ale o autorze. Podobnie i książka Körmendiego, i to w stopniu tak wysokim, że w obu głównych bohaterach powieści można w gruncie rzeczy odnaleść samego Körmendiego. Obaj są podobni psychicznie, na wiele spraw reagują taksamo, i w gruncie rzeczy nie wiadomo, który z nich jest bohaterem głównym. Obaj ci bohaterowie — to ludzie żyjący bez żadnych t. zw. wyższych aspiracyj poza chęcią zdobycia majątku, „pozycji" i kobiety. Różnica jest tylko ta, że jeden z nich osiągnął te aspiracje, drugi jest wykolejeńcem i kończy samobójstwem. Dlaczego ten a nie tamten osiągnął powodzenie — niewiadomo. Stało się to bowiem trafem. Nie zwyciężają tu ani zdolności, ani dzielność, ani wartość moalna. Kto wie czy bogaty Kadar nie robiłby takich samych świństw, jak wykolejeniec Kelemen, gdyby był na jego miejscu, Autor nie daje żadnych podstaw do przesądzenia na tę czy inną stronę.

Wszystkie pozostałe postacie książki, przynajmniej wszystkie postacie męskie, to taki sam typ człowieka, choć w różnych może odmianach. Wszyscy są nieszczęśliwi — bo i bogaty Kadar ma pustkę życia, złagodzoną może przez miłość do dzielnej żony.

Wszyscy ci ludzie męczą się w swoim zmaterjalizowanym świecie i autor, notujący wiernie swój reportaż, męczy i nuży tym światem czytelnika, ale czyni to z talentem i interesująco.

Narodem postacie powieści interesują się niewiele Głównego jej bohatera Węgry odtrącają od siebie. Żaden z tych ludzi nie znajduje ujścia dla swego życia duchowego w twórczości narodowej, w polityce i t. d. — pozostawieni są sobie i swoim interesom.

Książka nagrodzona została na międzynarodowym konkursie zapewne dlatego, że jest w niej mowa o wolnej miłości i małżeństwach koleżeńskich, o komunizmie i innych rzeczach, frapujących dla dzisiejszego snobizmu. Jednakże stało się to zapewne dzięki nierozwadze sędziów. Trzeba bowiem pamiętać, że mówiąc o tych wszystkich rzeczach autor nie wypowiada się na żadną stronę, że postawę jego nieśmiało i niezupełnie może świadomie zaznaczoną, odnaleźć można nie w słowach powiedzianych wprost, ale w grze obrazów i niedomówień. A gra ta stwarza atmosferę zmęczenia takim właśnie światem, nieśmiałą tęsknotą za czemś innem. Tęsknota ta widoczna jest w tem, że autor ma jednak (znowu wyraźnie nie wypowiedziany) żal do Węgier za odtrącenie głównego bohatera, w postaci żony Kapara i ideowej komunistki Gerdy Buhr, które są jedynemi dodatniemi postaciami książki, bynajmniej jednak nie idealizowanemi.

Ta właściwie atmosfera i ta tęsknota stanowią coś sprzecznego z współczesnym snobizmem literackim, i dlatego książka jest więcej od innych współczesna. Ze snobistycznego jednak punktu widzenia nie powinnaby otrzymać nagrody, a jeśli nagroda była mimo to dyktowana snobizmem, świadczy to dobitnie o tego snobizmu płytkości.

Warto jeszcze dodać słów parę co do przekładu. Jest on jak na nasze stosunki wprost niesłychanie, oszałamiająco dobry. Czytając książkę nie potykamy się, o dziwo, na żadnych dziwolągach, gramatycznych czy innych bykach! Nie chce się wierzyć, że to przekład. A — rzecz charakterystyczna — przekładu tego dokonał Węgier. Dokonał tego dużo lepiej niż krajowe żydki. Po tym przykładzie miałoby się ochotę doradzać cudzoziemskim autorom, aby sami sobie znajdowali tłumacza-rodaka, dobrze znającego język polski, jeśli chcą, aby ich książka doszła do polskiego czytelnika w nieskażonej postaci. J. GR.

[1]) Fr. Körmendi „Przygoda w Budapeszcie", Gebethner i Wolf, Warszawa 1934, przekład Rezsö Schutza.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Dla prowadzenia systematycznych badań nad zagadnieniami śląskiemi oraz dla rozszerzania i pogłębiania znajomości Śląska powstał z inicjatywy wojewody śląskiego Dr. Grażyńskiego Instytut Śląski. Dnia 28 lutego r. b. odbyło się pierwsze walne zgromadzenie członków Instytutu. Dnia 26 czerwca odbyło się nadzwyczajne walne zgromadzenie członków, które uchwaliło preliminarz budżetowy Instytutu na rok 1934/35.

Lokal Instytutu mieści się w Domu Oświatowym w Katowicach (ul. Francuska 12).

Organizacja Instytutu przedstawia się następująco: Najwyższą władzą jest walne zgromadzenie członków. Liczba członków zwyczajnych w dniu 1 lipca b. r. wynosiła 65, liczba zaś członków wspierających 41.

Na czele Instytutu stoi Kuratorjum, w skład którego wchodzą z urzędu: wojewoda śląski Dr. Michał Grażyński, marszałek sejmu śląskiego Konstanty Wolny i sekretarz generalny Polskiej Akademji Umiejętności rektor Dr. Stanisław Kutrzeba.

Władzą zarządzającą Instytutu jest Zarząd, złożony z 9 osób. W skład Zarządu wchodzą 4 członkowie z urzędu, mianowicie: delegat Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego, przedstawiciele Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku i Związku Obrony Kresów Zachodnich, dyrektor Instytutu, oraz 5 członków, wybieranych przez walne zgromadzenie. Skład obecnego Zarządu jest następujący: Min. Eugenjusz Kwiatkowski — prezes, kurator Dr. Tadeusz Kupczyński — wiceprezes, dyr. Aleksander Szczepański — skarbnik, Dr. Roman Lutman, dyrektor, pełniący równocześnie obowiązki sekretarza Zarządu, oraz jako członkowie: Dr. Tadeusz Dobrowolski, dyrektor Muzeum Śląskiego, Dr. Stanisław Kudlicki, przedstawiciel Związku Obrony Kresów Zach., Prof. Stanisław Pigoń, Jan Przybyła i Ks. Dr. Emil Szramek, przedstawiciel Tow. Przyjaciół Nauk na Śląsku. Dyrektorem Instytutu jest Dr. Roman Lutman.

Celem Instytutu Śląskiego jest: organizacja badań naukowych w zakresie spraw śląskich i organizacja budzenia zainteresowań zagadnieniami śląskiemi, pogłębianie znajomości spraw śląskich i ich rozpowszechnianie. Instytut Śląski dąży do porozumienia i współpracy z innemi instytucjami i organizacjami, których zainteresowania idą w podobnym kierunku (Instytut Bałtycki, Komisja Atlasu Historycznego, Słownik Geograficzny, Instytut Badań Spraw Narodowościowych, Z. O. K. Z. i t. p.).

W zakresie organizacji badań naukowych Instytut Śląski prowadzi następujące prace:

a) Zbadanie obecnego stanu i potrzeb nauki polskiej o Śląsku i jej zasadniczych braków, na której to podstawie ustali się program prac naukowych na najbliższą przyszłość

b) Organizacja wydawnictw z zakresu najaktulniejszych problemów śląskich. Program akcji wydawniczej będzie w pierwszym rzędzie uwzględniać następujące zagadnienia: I. Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku. 2. Konwencja Genewska i jej wykonanie. 3. Dorobek Państwa Polskiego na Śląsku. 4. Monografja Śląska Opolskiego. 5. Stosunki rolne na Śląsku. 6. Monografja przemysłu śląskiego. 7. Zagadnienia demograficzne Śląska. 8. Historja ruchu narodowego na Śląsku. 9. Żywoty działaczy śląskicn. 10. Bibljoteka pisarzów śląskich.

c) Organizacja badań nad ustaleniem stosunków prawnych w województwie śląskiem i powołanie w tym celu przy Instytucie osobnej Komisji.

d) Organizacja śląskich zjazdów naukowych.

e) Uruchomienie innych ważnych dla Śląska prac naukowych, oraz współdziałanie z innemi czynnikami, podejmującemi takie prace.

f) Organizowanie systematycznych badań naukowych w miejscach, w których znajdują się główne materjały do dziejów Śląska.

Program wydawniczy na najbliższy okres przewiduje następujące wydawnictwa:

a) Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku.
b) Konwencja Genewska i jej wykonanie.
c) Monografja Śląska Opolskiego.
d) Materjały statystyczne Śląska.
e) Mapa Województwa Śląskiego.

Do zakresu działu Informacji Naukowej należy: wydawanie komunikatów, informujących o sprawach śląskich, bezpłatne rozsyłanie ich do prasy, oraz odpowiednich instytucyj i osób w kraju i zagranicą.

Zamiarem Instytutu Śląskiego jest stać się ośrodkiem inicjatywy i systematych badań w zakresie spraw śląskich, tak w kraju, jak zagranicą.

Z radością witamy powstanie tak ważnej placówki kulturalnej w tej części naszego kraju i życzymy jej powodzenia w owocnej pracy.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W wydawnictwie prac komisji filologicznej Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, jako zeszyt 2 tomu VI, ukazało się obszerne dzieło prof. Uniwersytetu Poznańskiego Tadeusza Grabowskiego „Krytyka literacka w Polsce w epoce realizmu i modernizmu" (1863 — 1933). Jest to już trzeci tom, poświęcony przez niestrudzonego uczonego dziejom krytyki polskiej. Akademja Umiejętności wydała dwie pierwsze części tej pracy: w r. 1918 dzieje krytyki w epoce pseudoklasycyzmu, a w r. 1931 czasy romantyzmu (od Mochnackiego do r. 1863). Najnowsze dzieje krytyki prof. Grabowski dzieli na dwa okresy: realizmu i współczesny okres modernizmu.

Rozkład tej pracy, obejmującej epokę najpłodniejszą, jest następujący: 1) Realizm na Zachodzie. Rola Lucjana Siemieńskiego. 2) Odmiana pojęć. Stanowisko Tarnowskiego (Szujski, Tarnowski, Tretiak). 3) Krytyka lwowska. Filolofizm Małeckiego (Pilati, filologowie poznańscy). 4) Tainizm i tainiści (Chmielowski, Kaszewski, Spasowicz. 5) Mniejsi krytycy. Znaczenie Chlebowskiego (Sygietyński, Bogusławski, Krzemiński, Bem, Kotarbiński). 6) Nowe prądy. Estetyka Matuszewskiego (Lange, Grotowski. 7) Zwrot do idealizmu. Drogi Brzozowskiego i Zdziechowskiego (Feldman, Żeleński, Z. Wasilewski). 8) Krytyka neofilogiczna (Kallenbach, Windakiewicz, Bruchnalski, Gubrynowicz, Chrzanowski, Dobrzycki, Brückner, Pawlikowski, Pigoń, Pollak, Kleiner). 9) Synteza dziejów krytyki polskiej.

Jeśli się zważy, że prof. Grabowski podjął nie tylko trud spisania, szeregowania i opisania zjawisk na polu literatury, ale także i oceny tych zjawisk, to trzeba widzieć w przedsięwzięciu jego akt wielkiej odwagi. Sprzyjały mu w tej pracy rozległa erudycja i dar orjentowania się w różnorodności kryterjów zarówno idej, jak i wartości ocen estetycznych. Wielka skala zagadnień w tej dziedzinie daje możność prowadzenia tego rodzaju prac syntetycznych na różnych poziomach zależnie od talentu badacza i stopnia uzdolnień filozoficznych. Praca prof. Grabowskiego nie stawia tamy usiłowaniom innych, owszem może do nich zachęcić. Cokolwiekby jej można było zarzucić, nic nie zmniejszy zasługi pionierstwa i wielkiej pracowitości. Oczywiście notatka niniejsza jest tylko wiadomością o pojawieniu się dzieła. Pióra kompetentne dadzą jej ocenę.

*

Niektórzy z nas pamiętają te czasy, kiedy niemal każda firma handlowa czy przemysłowa, zwłaszcza na terenie b. Galicji, w nazwie swej musiała czy „potrzebowała" ogłaszać światu swoje „pierwszeństwo". „Pierwsza krajowa fabryka guzików", „Pierwszy galicyjski skład pierników" i t. p. Trochę się przypomina ta terminologja (z czasów Ezawa i Jakóba, „pierwszego światowego handlu soczewicą"), gdy w „Książnicy współczesnych pisarzy polskich" (nakładem Mortkowicza) widzi się „Pierwsze wydanie zbiorowe" pism Leopolda Staffa. Prawdę powiedziawszy, nie jest ono wcale wydaniem pierwszem, bo w handlu księgarskim można dziś jeszcze nabyć wcześniejsze wydanie zbiorowe, podjęte przed kilkunastu laty przez Bibljotekę Polską, a od obecnego nawet staranniejsze tak co do tekstu, jak i co do formy zewnętrznej; muszą się widocznie kalkulować dwa wydania „pierwsze" obok siebie — zostawmy więc tę rzecz księgarzom i nie skarżmy się na brak zainteresowania poezją... Co do „współczesności", to niezawsze ona do Staffa przystaje; niektóre tomiki w tem zbiorowem wydaniu są właściwie dość dalekie epoce dzisiejszej, takie bezczasowe w swym parnasiźmie jak niektóre zbiorki Felicjana, tego Felicjana, który już „w połowie drogi żywota" — wskutek niepomyślnej konjunktury — był zapomniany i przemilczany, jakkolwiek w aktualnych sprawach nieraz głos zabierał. Staff raz tylko o rzeczywistość społeczną się otarł: w powstałym podczas wojny zbiorku „Siew doli", który obecnie wydano pod nowym tytułem „Tęcza łez i krwi". Takich zmian tytułowych jest więcej — a nie są one potrzebne, bo mylą tak biografa, jak nabywcę-czytelnika (np. „Sowiem piórem" to nie „nowy" tomik, jak ogłaszały niektóre pisma, ale przedruk „Szumiącej myśli" z kilkoma błędami druku). Czy chciano w ten sposób wywołać wrażenie — nowości?

Ale są w twórczości Staffa i nowe nuty, nowe elementy. Kilka lat temu z uznaniem witaliśmy jego „Ucho igielne", w którem poeta, jak ów bogacz ewangeliczny, zbywszy się niepotrzebnego blichtru, poszedł drogą prostoty w stronę Królestwa Bożego, przyczem może wzorem i podniętą była ostatnia faza twórczości mistrza Kasprowicza. Nowy Staff — i Staff współczesny — jest też w zbiorze „Wysokie drzewa". Zrodził się ten zbiór z samowiedzy, głoszącej, że ciasno jest człowiekowi „na kolumnie pychy samoistnej", że przeto dobrze jest znijść wdół, ku szerokiemu polu, gdzie można nisko bić czołem przed Stwórcą. I, podobnie jak w poprzednim zbiorze, poeta zbliża się ku ludziom, nietylko ich obserwuje, by obserwacje zakuwać w misterne strofy, ale stara się wzruszyć ich dolą (Przechadzka niedzielna); współczuć im i spół-czuć z nimi. Jednakże więcej tu takich wierszy, w których poeta-liryk mówi przedewszystkiem o sobie. Już w „Szumiącej muszli" pisał waletę swej muzie i życiu, jak to od czasów Horacjusza, a u nas od czasów Reja jest w zwyczaju; teraz czyni ponowny, ale żywszy i głębszy obrachunek ze swą przeszłością; nietylko ją rozpamiętywa i smuci się jej odejściem („Dawnym śladem" i „Piosenka"), ale stara się z niej wysnuć trwalsze wnioski, ustalić to, co jest nietylko jednostkowe i nietylko osobiste: „Rzeczywistością jest jedynie to, co po wszystkiem pozostaje".

Niesposób zresztą do wspólnego mianownika sprowadzić treść tego zbiorku. Jest w nim wielka skala różnych wrażeń, nieraz powtarzających się już u Staffa (pejzaże włoskie), niekiedy transponowanych ze światowej literatury (jak „Morze! Morze!" z Kiplinga), niekiedy zaś bliskich prądom pulsującym powszechnie w naszej literaturze powojennej, niekiedy zaś całkiem nowych i bezpośrednio odczutych. Pragnienie pędu, rozmachu — to dodatni wpływ życia powojennego, którego gorączkowy rytm nie pozwala poecie, wzorem hrabiego z „Pana Tadeusza", „udrapowanemu płaszczem siadać na ruinach". Poza z czasów Młodej Polski pozostała dość daleko, a na szczęście kultura i smak nie pozwoliły chwytać się snobistycznych ekstrawagancyj, zdarzających się tu i owdzie w poezji dzisiejszej.

Tomik Staffa, mieszczący żywot Michała Anioła Buonarotti'ego (bibl. życiorysów „Wielcy ludzie", Państw. Wyd. Ks. Szk.), przynosi pewne rozczarowanie, zwłaszcza z początku. Ma się wrażenie, jakoby wykwintny poeta nie umiał pisać prozą. Życiorys suchy, zaczynający się od urodzenia, miejscowości, imion rodziców, istny nekrolog albo karta z niemieckiej encyklopedji... Tylko z tą różnicą, że takich kart jest tu kilkadziesiąt. Kto pamięta świetne karty, również na temat Michała Anioła, w „Wieczorach florenckich" i „Juljuszu II". Klaczki, ten już nie zachwyca się wykładem Staffa. Dopiero w dalszym ciągu swej książki autor się poczyna ożywiać i — *finis coronat opus* — zakończenie ma momenty drgające życiem i siłą. Są to te momenty, gdzie Staff mówi o „snach o potędze" Michała Anioła, o tych snach, których nie ziścił niejednokrotnie artysta obarczony nadmiarem poczynań i projektów, a przytem szarpany wewnętrzną niecierpliwością. Nie słynną grozę, *terribilta* michał-aniołową, ale właśnie tragizm jego bezsiły w „jesieni żywota" oddał Staff najgłębiej, najbardziej przekonywająco, choć tem samem nieco jednostronnie. Ilustracje książki też w tym duchu są dobrane. (J. B.).

OFENSYWA

KONIEC DR. LIPPOWITZA

Jedną z ulubionych suggestyj szerzonych przez Schylockratów i ich liberję (także rewolucyjną) jest pogląd o zawsze marnym i fatalnym końcu każdego, kto na Mocarstwo Międzynarodowe ośmielił się podnieść rękę z wskazującym palcem. Tak straszą głupowatych i płochliwych *goyim*. Jeszcze się ten nie narodził, coby semitom zaszkodził. Prędzej czy później przyjdzie kreska nie tylko na Matyska zwykłego ale na Matjaszka nawet, to jest najznakomitszego dziś publicystę naszego, który niestety jeszcze jakoś do Warszawy nie dotarł. Każdy, co żydom dokuczył będzie się w tułactwie włóczył. Kto demaskuje szacherki będzie miał wnet chore nerki. Kto broni swoich przed żydem, będzie uciekał ze wstydem. Kto żydom nie daje spokoju, będzie umierał na gnoju. Drumont, Lueger, Ford z Cotem, wszyscy wnet legną pokotem. Kto chce być Puryczkiewiczem, zostanie dziadem i niczem. Szlag trafi już wnet Hitlera, Goebelsa ciężka cholera. Żaden się wróg nie uchowa, bo naszych chowa Jehowa.

Dr. Ozjasz Thon kilkadziesiąt już razy przeklinając cały świat i Europę, groził wrogom piekłem, ślepotą, głuchotą, kalectwem, kiłą i gniciem na gnojówce. I kiedy nieboszczyk Coty — Spoturno któregoś roku sprzedawał mniej perfum a Ford mniej swoich „blaszanek", odrazu „Weltpresse" wpadła w dziką radość, że ich Pan Bóg karze.

Teraz wyją tysiącem głosów o izolacji i bankructwie Niemiec a nie wyją o tem co się dzieje w przeważydzonej Ameryce ani jak bankrutuje rządzona przez Drey- i Zweyfussów Francja.

Ostatnio znów się im jednak spełniło. Ale jakoś o tem przemilczają. A mianowicie z tym Lippowitzem też zaczął ostatnio Starozakohnom trochę dokuczać i docinać. Więc się Jehowa zirytował całkiem słusznie. I dr. Lippowitz powiesił się na szelkach, czy też poderżnął brzytwą. Taka potęga, taki tytan, taka znakomitość!

Przypomniał nam o tem świeżo wiedeński korespondent „Kurjera Warszawskiego". Dał taki list melancholijny o upadku czy zaniku wiedeńskiej prasy. Że niby 24 dzienniki znikły a tylko 24 dzienniki jeszcze wychodzi w Wiedniu a 20 na prowincji i że to niby duża „strata" dla „dziennikarstwa" bo niby to, co zostało jest z powodu „totalność" „*gleichschaltowane*", więc, że niby zaginęła „różnolitość" i „ożywczy" element w opinji publicznej. I jako przykłady podał, że z „*Neue Freie Presse*" ustąpił sam dr. E. Benedict a w „*Neues Wiener Journal*" powiesił się sam dr. Lippowitz...

Otóż dla nas i dla przyszłej Europy to nie są sprawy przygnębiające. Raczej wprost przeciwnie. Dla mieszkających w Wiedniu mogą to być szczegóły „tragiczne" w swej doniosłości. Dla nas natomiast upadek tych dwóch gigantycznych, liberalniczych szmat dziennikarskich to raczej powód do wielkiej, do olbrzymiej radości. Te dwie ropuchy dziennikarskie rozrosły się tam do niemożliwych granic, nasiąkłszy krwią wysysanego Chrześcijaństwa. Gdyby jakiś nowy tyran Wiednia kazał zamknąć obie budy, otoczyć strażą ogniową a potem wysadzić je w powietrze z całym nieruchomym i ruchomym inwentarzem, winszowalibyśmy Wiedniowi zwycięstwa. Upadek tych dwóch twierdz rozpanoszonej korrupcji, łajdactwa, szwindlarstwa, giełdziarstw, deprawacji, przekupstwa bynajmniej nas nie rozczula nawet na sekundę. My dobrze pamiętamy, co wypisywały w różnych latach dwie bandy szrajbełesów pod Benedictem i pod Lippowitzem. Gdy ich dziś djabli biorą i gdy herszty tych do niedawna zajadle antypolskich organizacji wieszają się na szelkach w swoich łazienkach czy klozetach my możemy tutaj zdobyć się tylko na jedno: *vivat sequens!* Powodów do melancholji, że się skończyła „ożywcza" „różnolitość" prasy wiedeńskiej żadnych nie widzimy. Również cieszymy się i winszujemy Wiedniowi, że pozamykał inne prasowe budy i bu..dele. W ostatnich dziesięciu latach rozrosła się tam ohydna szmaciarnia prasowa do niemożliwych granic. Powstał cały szereg rozmaitych „Tagów", „Morgenów", „Stundów", jedno plugawsze od drugiego. Taki „Abend", notorycznie Trockistowska komunistyczna międzynarogówka doszła do 150.000 egzemplarzy i redagowali ten „dziennik" dwaj złodzieje recydywiści Kohn-Colbert i Fritz Marun, którzy jeszcze przed Sądnym Dniem Lutowym za złodziejstwo poszli na dwa lata więzienia. Przy zawsze solidnej i poważnej „*Arbeiter-Zeitung*" rozkwitł brukowy plugawiec „*Das Kleine Blatt*" w stylu rynsztokowo - sensacyjnego „*Daily-Heralda*". Prócz tego wychodziło tam moc wulgarnych *extrablattów* i *mittagsblattów*. wszystko redagowane i pisane przez wywłoków i criminaloidów z Galicji, Bukowiny, Siedmiogrodu, Varażdynu. „*Hirnverbraunte*" Ostjudy wpółobłąkane nienawiścią do Hitlera-Hamana, po niemiecku dla Niemców wypisywały, że „Niemcy nie są Europejczykami", że Niemcy są Kannibalami *(Sonn — und Montagszeitung)* zaklinały Polaków, aby zajęli Gdańsk i Prusy Wschodnie („Abend") i t. d. A Wiedeń czytał

Gdy przyszły Sądne Dnie, stare liberalne szmoki zaczęły zmieniać skórę i orjentację. Moc szmat pozawieszano. Czerń reporterska pochowała się po kanałach i kloakach i przekucnęła. Stosunkowo solidna i ideowa „Arbeiterka" musiała przenieść się do Brna. Prześmierdła brudną wodą z mykwy „*Wahrheit*" (tygodnik) przeniosła się do Pragi, gdzie niestety z pięknego stołecznego miasta Czechów i Słowaków zrobił się jakiś zlew rewolucyjnych szmarocerów, przed których rozwielmożnieniem jeszcze raz ostrzegamy naszych słowiańskich przyjaciół. Najnikczemniejszy i najbrudniejszy *Abend*, nadal sobie wychodzi pod pseudonimem *Das Echo* z tymsamem sztabem gangsterów. Starą, przekupną, „światową" śledziarę („*Neue Freie Presse*") odkupili od zdesperowanych Benedictów jacyś „Holendrzy" recte takiesame żydy tylko amsterdamskie. Nic jej to niedopomoże, gdyż śledziara dogorywa.

Najzabawniej poszło z tym „*N. Wiener Journalem*". Jest to ojciec naszego Krakauerskiego „I.K.A.C.A". Ojciec i model. Deputowany Dubarry-Dąbrowski kształcił się i wzorował ściśle na „*Journalu*". Tensam cynizm, szowinizm, szczekanina i korrupcja. W ostatnich miesiącach editeur Lippowitz wziął na szefa bandy niejakiego Nagelstocka (*sic*). I kazał swym żydom pisać skrajnie antysemicko. I żydy ujadały na żydów w niebogłosy byle handel szedł. I wszystkie Plattfusy i Dreyfussy zaczęły być więcej dollfusowate niż sam Dollfuss. I wszystkie były frontsoldaty i zrobiły jednolity front faszystoski (*austro-fascizmus*) nacjonalne i okropnie niepodległościowe za każdą cenę. „*Austria Austria über Alles*". Potrafiły bardzo zgrabnie „*Maul halten*", ale nie potrafiły *Mass halten*. Szarżowały w żydożerstwie i w patrjotyzmie. I były więcej katolickie jak „*Reichspost*" i więcej chłopskie jak „*Neuigkheist Weltblatt*" i więcej fatalne jak *prinz Lichtenstein* lub *graf Silva-„Tarocca"*... Niestety przesadziły. I żydy w kawiarniach zaczęły ostentacyjnie czytywać lekko hitleryzujące „*Wienes Neueste Nachrichten*". Lippowitza tak to „zapoznanie" uraziło i zniechęciło, że wolał się powiesić na szelkach... *Sic transit gloria Bundi.*

I znów się więc spełniła wróżba Habakuków, że ten kto z Izraelem zadziera ten się w piekle poniewiera.

Wiedeńska prasa dzisiejsza pozbawiona swych „najgenjalniejszych" pfujletonistów i schoengeistów, pozbawiona prac o Steinachu, Freudzie, Marcusie, Hirszfeldzie, pikantnych szczegółów z żywota Boselów i Castiglionych, bez pieprzu, papryki, assafedyty i narkotyków jest istotnie może nudniejsza i szara i monotonna. Daleko też jej dzisiaj do naszego „Kurwjerka". Ale wystarczy! Na domowe potrzeby wystarczy. W każdym razie jest już w części odkażona. Jedno jeszcze przeczyszczenie nawet by jej dobrze zrobiło.

Martwić się więc z tego powodu, jak się martwią niektórzy nasi korespondenci, niema żadnej przyczyny. Chyba że się na razie niema większych zmartwień.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Wiadomości literackie" zapowiadają numer specjalny z okazji zjazdu Polaków z zagranicy. Pisać w nim mają między innymi: Irena Krzywicka (Goldberżanka), Hanka Mortkowiczówna, Antoni Słonimski, Irena Tuwim, Juljan Tuwim, Józef Witlin...

A możeby tak lepiej było wydać numer specjalny, poświęcony nie — Polakom nie — zagranicznym?...

*

Kolejka linowa na Kasprowy Wierch w Tatrach będzie pomnikiem chamstwa powojennego. „Cepry" pragną zrobić z Tatr lunapark (z duszą lupanarku). „Cepryzm" gwiżdże na poemat przyrody; jego poetą jest p. Marjan Dąbrowski, inicjetor lunaparku.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM